

GŁOS LITERACKI

DWUTYGODNIK

№ 18/19 (42/43)

Warszawa 1—15 Listopada 1929

Rok II

Tragedja Malczewskiego

Twórczość wielkich ludzi rzadko jest łatwą i prostolinijną. Można stwierdzić, że dzieło wielkiego człowieka zawiera tem więcej istotnej treści, tem donioślejszą wagę posiada, im więcej duchowego wysiłku trzeba było zużyć na jego wytworzenie, im cięższe zmagania i duchowe przejścia towarzyszyły jego narodzinom. Żywy Dantego, Buonarottiego, Nietzschego stanowią zamknięte i związane z imieniem twórców tragedje. Buonarotti, Dante wytworzyli własne *tragiczne problemy*.

Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że istnieje również jeśli nie tak doniosły, to nie mniej tragiczny problem Jacka Malczewskiego. Nie chcemy by głos nasz był pospolitym nekrologiem ginącym w powodzi papierowych artykułów i banalnych słów. Wyrażenia: geniusz, tytan, mistrz stają się bezdźwięcznymi i przykreml, gdy wypowiada się je nad otwartą trumną.

Z czarnej skrzyni wychyla się błada i wyschła twarz, oblicze człowieka, który dużo przemyślał i odczuł. Jakaś tragiczna sprzeczność istnieje między ascetycznym wyglądem człowieka w mnisim habicie (gdyż w tym ubiorze kazał się Malczewski pochować), a współczesnością. Chcemy tę tragedję rozpatrzeć.

Są natury, które rodzą się już z zarodem tragizmu; życie jest dla nich nieporozumieniem, jakąś rachunkową omyłką, niesprawdzone i niewysledzona; nieustannie powtarzającą się w kolumnach cyfr. Do życia potrzebna jest odpowiednia atmosfera, a natura tragiczna nie może znaleźć dogodnych warunków dla swego bytowania, atmosfera istniejąca jest dla niej zbyt duszną i przytłaczającą. Musi więc zależnie od swego temperamentu albo zakładać wieczny protest przeciw rzeczywistości, musi stać się namiętym sprzeciwem wobec istniejących stosunków, albo też poddać się i z rezygnacją oczekiwać zbawczej śmierci. Trzeciego wyjścia nie ma.

Postać tragiczna nie może cieszyć się szczęściem; najmniejsze przelotne drgnienie, najmniejszy błysk chwilowego szczęścia zatruje złowrogą myślą, ironicznym, rozszepiającym wglądem. Skalepelem chłodnej analizy rozedrze w kawały chwilowy nastrój. Sama rozerwie swe szczęście. Zupełny brak beztroski, zdolności zapomnienia — o której tak pięknie mówi Żeromski w jednej ze swych nowel — lecz tylko ciągle nasuwające się pytania, nowe, dręczące zagadnienia, niby natrętne osytne dokuczliwe żądłem strudzonego wędrowca.

Malczewski był człowiekiem o podobnej strukturze duchowej. Był naturą obdarzoną niezwykłą wrażliwością i czułością, olbrzymią skalą odczuwania. Lecz Malczewski posiadał zbyt skomplikowany charakter, by mógł ograniczyć się tylko do odczuwania, do biernej recepcji; On umiał, swe uczucie stylizować i czynnie przetwarzać. Jak hr. Henryk — „dramat układał”. Nierzadko sam stwarzał imaginowane tragedje, umyślnie wstępował na koturn; wiedział doskonale, że gra tylko tragiczną rolę, lecz jak wspaniały aktor nie rozróżnia rzeczywistości od swej gry, tak i On przeżywał ból swych prawdziwych i nieprawdziwych udręczeń.

Ale choć w twórczości Malczewskiego dużo jest pierwiastków stylizacyjno-dekoracyjnych, to jednak jej wnętrzu i istotną zawartość stanowi szczerzy i w naturze leżący pesymizm, jej wybitnie negatywny stosunek do świata. Malczewski mógł śmiało wypowiedzieć słowa swego imiennika, autora „Marii”: „rola wzniosłych chęci nigdy się nie uda.” Ten znamienity rys pogłębia się w nim coraz bardziej i nadaje mu charakterystyczne piętno.

Jakie były przyczyny tragedji Malczewskiego? Trudno je określić. Stajemy prawie wobec zagadki. Aby odnaleźć jej źródło trzeba porzucić trzeźwą, rzeczową analizę i pójść drogą intuicyjnego wglądu w duszę artysty. Bo tylko na jej dnie znajduje się klucz zagadki. Naturalnie przypuszczenia mogą być rozmaicie tworzone, z większym lub mniejszym rezultatem.

Zdaje się, że tragedia Malczewskiego predestynowana była samą Jego naturą. Urodził się jako człowiek obdarzony wybitnie kontemplacyjnym charakterem. Nie mistycznym, nie wizjonerskim — bo obrazy Malczewskiego nie mają nic wspólnego z wizyjnością płócien Witolda Pruszkowskiego, tchną bowiem realizmem i naturalnością — lecz charakterem hiperlirycznym i wysoce przewrażliwionym. Lecz główna przyczyna jego pesymizmu

że życie jest złe. Wprowadza w dziedzinę malarstwa kategorie etyczne, jak nikt przed nim i nikt po nim. Idealne dążenia człowieka rozbijają się w niego w obliczu potęgi triumfującego w życiu Zła. Istotą życia jest powtarzający się konflikt pomiędzy tem co powinno być, a tem co jest. „Eine alte Geschichte und bleibt es immer neu...”

Nie można myśli przyoblec w czyn. Wieczny „sen o potędze” pozostanie tylko snem. Zostanie



JACEK MALCZEWSKI.



Jacek Malczewski.

Zstąpienie na etapie.

tkwi o wiele głębiej. Malczewski w swej działalności malarskiej sięgał istoty przedmiotu, dla niego rzeczywistym było to, co jest konkretnem, istniejącem. W swoich filozoficznych dociekaniach, bo czem innym są jego dzieła — badał treść zjawisk. Wiecznym prawem, według Malczewskiego — jest ciągła chęć realizowania pięknego i wzniosłego przez człowieka, dążenie do zrealizowania ideału. Lecz usiłowania są daremne. Idealista Malczewski zgodnie z duchem modernistycznej epoki uważa,

tylko Tanathos — Śmierć.

Chimera — Złudzenie jest ciągłym motywem, czerwoną nicią wlokącą się poprzez najbardziej osobiste, najbardziej intymne dzieła Malczewskiego. Postać ta może być rozmaicie interpretowana. Można ją nazwać Sztuką, Słową, Potęgą, Życiem lub Złudzeniem — kwestja technicznej terminologii jest rzeczą obojętną — ale zawsze, jakkolwiek byśmy ją nazwali, stanowić będzie to, co upragnione i to, co nieosiągalne.

Problem powyższy — to zasadnicze źródło tragedji Malczewskiego. Walka — od początku przegrana. Ale to nie wystarczy. Malczewski widział jako ośmioletni chłopak rok 1863, słyszał opowiadania znajomych i bliskich o przeszłych wypadkach. Pierwsza połowa jego życia stoi pod znakiem tragedji narodowej, momenty indywidualne nie rozwinęły się jeszcze tak potężnie, pesymistyczny pogląd na świat nie dojrzał całkowicie. Zranione uczucie patriotyczne stanowiło wprawdzie tylko substrat jego tragicznej natury, kanwę na której mógł snuć swe posępne nastroje. Lecz w epoce swej twórczości patriotyczno-narodowej, Malczewski nie był jeszcze sobą. Zwrócił się ku niej, by przeprowadzając syberyjskie motywy wyładować swe wewnętrzne uczucia, wrodzony ból rozsądający mu piersi. Szczytem ewolucji Malczewski była rozpaczliwa, zgory przegrana i właśnie dlatego tragiczna walka z życiem.

Niewiadomski w swem namiętnie napisanym studjum o polskim malarstwie podnosi, że jedną tragedji Malczewskiego była istniejąca rozbieżność pomiędzy pierwotnym sposobem malowania Malczewskiego (typowo monachijski, używanie ciemno brunatnych kolorów) a ówczesnym impresjonizmem, którego konsekwencją był pełn air. W spostrzeżeniu powyższym zawarta jest duża ilość prawdy. Bo istotnie długo musiał walczyć ze sobą Malczewski nim pozbył się naturalistycznej manieri. Nawet i później kolorystyka Malczewskiego, choć zawsze żywa, liryczna i stylizowana nie da się porównać z jego bajecznym rysunkiem, w którym mistrzem Malczewskiego był Ingres; nierzadko barwy nie harmonizują się ze sobą przez dobór zbyt twardych kolorów, nużących i suchych. Jednak okoliczności tej nie można zbyt przeceniać i wysnuwać z niej zbyt daleko idących wniosków.

Przyznaję, że symbolizm Malczewskiego jest często niezrozumiałym, że różne myśli i uczucia podsunąć można pod rozpatrywane postacie. Ale w tych wszystkich twórczych istnieją jakieś nie wspólne, jakiś swoisty styl przenikający całość dzieł. Często nie rozumiemy Jego obrazów, ale je zawsze odczuwamy. Jeśli nie zareagujemy mózgiem, to na pewno sercem.

I oto tajemnica dzieł Malczewskiego. Liryzm, bezpośrednio uderzające uczucie wynikające z prostoty kompozycji obrazu, nadzwyczajna ekspresja i siła wyrazu tkwiąca w zadziwiająco oddanej fizjonomii, w której odtworzeniu Malczewski był mistrzem niepróbowanym i rzec można jedynym — oto cząstka zaledwie tajemnicy uroku jego dzieł.

O wiele głębszym jest drugi powód przytoczony przez Niewiadomskiego. Źródło tragedji Jacka leży może w literackości jego pomysłów i niemożności przetransponowania ich na obraz. „Myśl łamie się w słowa” głosił Mickiewicz. Ale teza powyższa daje się sprowadzić w ostatniej instancji do wiecznej niemożności realizacji zamierzeń, nieosiągalnego „snu o potędze” o czem wyżej była mowa.

Liryka Malczewskiego, ciągłe rozszepianie duszy, nieustanne usiłowania realizacji niemożliwego, ów wtórny „Weltschmerz” — wszystkie te cechy jego dzieł są także znamionami modernizmu literackiego. Dzieła Malczewskiego są doskonałym wcieleniem idei modernistycznej w malarstwie, dzieła Staffa w poezji. Staff i Malczewski posiadają niezwykle dużo cech wspólnych. Identyfikacja jest niemal ich stosunek do rzeczywistości, „sny o potędze” i cichy, przesycający całą ich twórczość — smutek.

Jaki jest nasz stosunek do Malczewskiego?

Mineły czasy „snu o potędze”. Rzeczywistość polska musi się przeciwstawić „weltschmerzowi”, choćby najbardziej estetycznemu. Z dzisiejszego punktu widzenia można dużo zarzucić dziełom Malczewskiego. Można stwierdzić, że są przestarzałe, zarówno technicznie, jak ideowo. Można zwalczać ich wpływ z punktu widzenia wychowawczego. Można zarzucić im nawet frazes, sztuczność i sentymentalizm. Ale zaleń wszystkich błędów i anachronizmów Malczewskiego przeważa to, co zawsze z nich bić będzie. Ich tragiczna wielkość.

Juliusz Grot

Troski Przybyszewskiego

Podał Dr. Seweryn Gottlieb (Kraków).

Po pamiętnym roku 1918 rzuciło się wszystko, co miało w sobie jakiś taki pod twórczy, przy poczuciu narodowej odpowiedzialności, do odbudowy zmartwychwstałej Polski. Jednym z czołowych zadań było (i jest jeszcze ciągle!) nawiązanie kontaktu z obcoplemiennymi kuzniami twórczej pracy. Z tych wychodzących założeń zorganizowaliśmy w Krakowie w lutym w r. 1920 z Prof. Drem Marjanem Szyjrowskim, podówczas wykładowcą literatury na Uniwersytecie Jagiellońskim i malarzem Stanisławem Kamockim, profesorem tutejszej Akademii Sztuk pięknych, spółkę „Ars”, która jako cel swój ustaliła: eksport dzieł ducha polskiego zagranicę. Rzecz nie była na zysk obliczona. Raczej na straty. Żeromski. Reymont. Stefan Grabiński. Perzyński. Walewska. Daniłowski i wielu innych odnosiło się do poczynających z rzetelną życzliwością. Żeromski, ten nieuleczalny idealista i zapaleńca jak: najczystszej rasy ideowiec, bez jakichkolwiek zastrzeżeń odstąpił spółce prawo przekładu kilku swych dzieł, nie wspominając nawet o sprawie honorarium. I rozpoczęły się żywe zabiegi. Przedewszystkiem w Niemczech. Uważałem je za odskocznice do dalszych terenów, albowiem komunikacyjne zetknięcie było wtedy z Niemcami najłatwiejsze a oddał nam się też bezinteresownie do rozporządzenia entuzjasta, tłumacz na język niemiecki prof. H. Grudziński. Zawazyły też na szali: uniwersalizm języka i wypróbowana ruchliwość niemieckich wydawców. Kontakt z wydawcami zapowiadał się początkowo bardzo pomyślnie. Ale kiedy zaogniły się stosunki polityczne między Polską a Niemcami, sprawa poczęła utykać i z czasem ugrzęzła w bezruchu. Pokazało się, że podstawy nasze (finansowe i organizacyjne) były za wąskie i że koniunktura dla eksportu dzieł ducha polskiego jeszcze wówczas nie dojrzała.

Jednym z ostatnich ogniw naszych usiłowań były osobiste me zabiegi w Wiedniu. Berlinie i Dreźnie w sprawie Przybyszewskiego. Pragnąłem ulokować na rynku księgarskim jego świetne pamiętniki, których I tom pojawił się w „Tygodniku Ilustrowanym”. Z tego to tytułu zawiązała się między Przybyszewskim a mną korespondencja, której istotną część, to dosłownie przytaczam. Są to niewątpliwie dokumenty więcej ciekawe i zarówno ze względu na osobistość samego poety, jak i niemiętej w ogólności jako przyczynki do biografii twórców. Dokumenta, ze względu na palącą się właśnie współcześnie sprawę gospodarczego zaopatrzenia artystów, niewątpliwie aktualne.

Przybyszewski nigdy materialistą i na prowadzenia pieniężne zachłannym nie był, ale w życiu swoim stwierdził pogardę dla grozy i dóbr ziemskich. Był raczej wszystkim innym, ale chłwiecem i banalnym używaczem życia. Przybyszewski, nieubłagany wojownik z filistrem, dzieł swego zgonu przyniósł. A jednak w niezacytowanych listach swoich ten daleki od ziemnych interesów mistyk, pochłonięty całkowicie przez tajemną muzykę duszy i jej fascynujące mroki, wysuwa sprawę wynagrodzenia na pierwszy plan swoich zadań. Czyny to z widocznym niepokojem i troską o jutro. Temat ten musiał na łamach Wiadomości Literackich, o St. Cieszkowskim w artykule swoim „Moja wizyta u Przybyszewskiego” (v Nr. 49 z 1927 r.) Obecnie zaś oddajemy głos samemu Przybyszewskiemu.

Odpis.

I.

Wielce Szanowny Panie!

Wybac Pan, że dziś dopiero odpowiadam na Jego list z 22.I.25. przyczyną tego były moje ustawiczne rozjaśnienia, a ostatnio uporczywy bronchit, który mnie co chwila z nosa zwala.

Oczywiście godzę się „w zasadzie” na tłumaczenie „Moich współczesnych” na język niemiecki, zależy tylko od tego, jakie da mi warunki ta firma wydawnicza, o której Pan pisze.

Rozumie pan, że za bezcen tej rzeczy nie sprzedam, bo na tłumaczeniu samem nic mi nie zależy a zagranicznej „sławy” mam aż nadto.

Przytem zwracam panu uwagę, że Tyg. Il. drukował tylko pierwszą część pierwszego tomu „Moich Współczesnych” a druga część, stanowiąca dla siebie odrębny, obszerny rozdział drukuje się obecnie w „Rzeczpospolitej” pod tyt. „Sam z sobą” i obejmuje cały czas mego pobytu w Skandynawji.

Peritaktacje co do tłumaczenia będziemy mogli rozpocząć, jeżeli mi Pan poda bliższe szczegóły, a przedewszystkiem warunki na jakich firma Wydawnicza o której Pan pisze, to dzieło nabyć zamierza. A z góry zapowiadam, że zgodzę się jedynie tylko na dla mnie możliwie korzystne warunki.

Więc raz jeszcze by uniknąć wszelkich nieporozumień.

Godzę się na tłumaczenie „Moich Współczesnych” jedynie pod warunkiem, że jeżeli między firmą wydawniczą, a mną, jako autorem, dojdzie do zupełnego porozumienia co do mego honorarium.

Z głębokim szacunkiem
Stanisław Przybyszewski mp.
Adres: Warszawa, Zamek królewski
10.III.25.

* Podkreślenia Dra S. G.

II.

Wielce Szanowny Panie!

Na list Pański i na Jego pytania odpowiadam w tym samym porządku:

1) Honorarium pragnę pobrać z góry — w żadne procenty się nie udać, bo dotychczas nigdy jeszcze ich nie otrzymywałem.

2) Bardzo sobie tego życzę, byś Szanowny Pan zajął się tłumaczeniem „Moich Współczesnych”.

3) Tom I. (w dwóch częściach: „Moi Współcześni” i „Sam z sobą”) ukazuje się za jaki miesiąc w nakładzie „Biblioteki Polskiej” w Warszawie. Tom ten obejmuje całe duchowe życie moje aż do chwili mego przyjazdu do Polski.

Z chęcią, gdy „Moi Współcześni” wyjdą z druku, natychmiast Panu egzemplarz prześlę, na podstawie którego Pan tłumaczenie sporządzi.

stawie którego Pan tłumaczenie sporządzi. —
Z wyrazami szacunku i poważania
Stanisław Przybyszewski mp.

Warszawa, Zamek
22.III. 25.

III.

Wielce Szanowny Panie!

Pamiętniki moje pod tyt. „Moi Współcześni” ogłoszone w Tygodniku Ilustrowanym stanowią pięćdziesiątą część pierwszego tomu „Moich Wspomnień”, aż do chwili mego przyjazdu do Polski. Druga część tego tomu pod tyt. „Sam z sobą” obejmuje Skandynawię, Paryż, Hiszpanję, a druk tej części kończy się już w „Rzeczpospolitej”.

Obydwie te części będą stanowiły obszerny, co najmniej 30-arkusowy tom pod ogólnym tytułem: „Wśród obcych”. Drugi tom, poświęcony pobytowi

ADAM GALIS.

„Mistrzostwo Świata”

Kazimierzowi Wierzyńskiemu.

A oni klaszczą jeszcze, żeś się dźwignął Johnny!

A oni wrzeszczą jeszcze, że stoisz na nogach!

Wal, wal go w szczękę bracie! Niech usłyszy dzwony

W uszach, kiedy go strąci twój stalowy knock-out!

Pięści — czarne pociski, Johnny! Bij, nie żałuj!

Bo ciebie pięść dosięgnie i padniesz zgubiony!

A oni krzyczą bravo! Dobrze bijesz Johnny!

I teraz on się dźwiga. Raz, dwa, dwa, trzy, pomału...

Cztery, pięć, sześć, siedem... Dźwignął się i upadł...

Osiem, dziewięć, dziesięć... Johnny! Krok ku stawie!

Jedenaście... Na Boga! Masz przed sobą trupa!

Oko ma nieruchome jak brylant w oprawie.

A oni: bravo Johnny! Ukłonił się pięknie

I trzymaj się za serce, bo serce ci pęknie,

Trzymaj ręką splamioną krwią, jak topór kata.

Johnny! W drugiej rundzie zdobyłeś mistrzostwo świata!

EWA KOWALSKA.

NOC

Cisza. Ulica prostuje zmordowany grzbiet.

W dół opada rełsa tramwaju, jak ramię śpiącego. Wnet

Wезде księżyc.

Wszedł!

Rzeczywistości oglądane przez księżycowe story!

Ulica zmieniła swój wyraz, jak w teatrze gdy zmienia reflektory

Dekoracja. Otóż mamy i nastrój...

Ostatecznie wszystko jest kwestią iluminacji —

Gdy w noc tak piękną o miłości się deklamuje nie trzeba

pytać racji...

Mój cień, mój cień na trotuarze aż krztusi się z śmiechu!

Cóż to mnie obchodzi? Wszak nie jesteśmy bez grzechu —

Lubimy operę, widowisko. Wystarczy perspektywa księżyc.

Ta, która nie ginie

Ta sama tu jak i w Weronie. Miłości, boski Lohengrinie

Nie będę, nie będę tej nocy pytać o twoje imię!

mojemu w Polsce, będzie nosił tytuł: „Wśród Swoich”.

Otóż za przekład tego pierwszego tomu: „Wśród Obcych” w dwóch częściach to znaczy: „Moi Współcześni” i „Sam z sobą” wynosiłoby moje honorarium tysiąc złotych polskich. Sądze, że wysokość tej sumy ani Panu ani Jego mandancie nie wyda się zbyt wygórowana — tem mniej, że oryginalny polski i tłumaczenie na niemiecki język mogłoby się ukazać prawie, że równocześnie.

W Warszawie pozostanę do jakiegoś 25-go maja, więc byłoby bardzo wskazane bym do tego czasu otrzymał jakąś jasną i pewną odpowiedź, bo przez całe lato będę bawił za granicą, więc komunikacja moja z Panem będzie wtedy bardzo utrudniona.

Oczekując zatem rychłej i możliwie decydującej już odpowiedzi na moją propozycję, pozostaje z głębokim szacunkiem i poważaniem
Stanisław Przybyszewski mp.

Adr. Warszawa, Zamek
2-go maja 1925 r.

IV.

Szanowny Panie!

Powyższy adres pozostanie stałym moim adresem aż do 1-go września r. b.

A teraz zapytałeś się Szanownego Pana, czy Pan już otrzymał jakąś odpowiedź od tej wiedeńskiej spółki wydawniczej, która pragnie nabyć „Moich Współczesnych”. Przy tej sposobności będę Panu bardzo obowiązany jeżeli mi Pan zechce donieść, czy ukazało się w niemieckim języku zbiorowe wydanie moich dzieł.

W Pradze opowiadać mi, że takie wydanie istotnie istnieje — tylko ja o niem nic nie wiem, a możliwe, że takowe bez mej wiedzy sporządzone zostało.

Wyrazi głębokiego szacunku i poważania
S. Przybyszewski mp.

Adr. Fuschl bei St. Gilgen
via Salzburg.

** Przypuszczenia te okazały się bezpodstawnymi.

DR. G.

CZARNA BEATRYCZE

W rozmachu poszukiwań nowej formy poetyckiej w przestrzeni ostatnich kilku lat — onomatopeja Maliszewskiego wypadła w tej dziedzinie niezwykle samotnie.

Właściwie poza Młodożencem, niema na tym dystansie prawie nikogo, któryby współzawodniczyć mógł i stoczyć bój z autorem „Czarnej Beatrycy”, Maliszewski wciąż jeszcze finiszuje sam i sam walczy. Ostatni jego tom, wydany w bibliotece „Kwadręgi” — to już nietylko zdystansowanie całkowite niegroźnego zresztą przeciwnika Stanisława Młodożenicy, — poety o wyjątkowej pruderji i pustej ideowej, — i nietylko wykazanie nowych i swoistych a nadewszystko istotnych wartości twórczych — „Czarna Beatry-

cze” to już scalone i na poważną zakrojone miarę oblicze dojrzałego artysty, poety o zdecydowanej i wysokiej skali wartości, może i słusznie nawet niewątpliwego wirtuozu w zakresie swojej własnej i konkretnej formy kompozycyjnej.

Zdobycze techniczne w tej tak skomplikowanej strukturze wiersza jest onomatopeja — nie należą do osiągnięć łatwych. Jak żadna inna forma o pokrewnej treści dynamicznej, — onomatopeja nie znosi wypadku nieorganizowanych tonacji. Uzależniona od budowy i od rozpiętości wewnętrznej terenu — oddech jej — to siła i prężność dynamicznego napięcia zawartej w niej treści, — jej efekt — to stopień i moc wrażliwości akustycznej przestrzeni. I stąd właśnie cała trudność piętrząca się przed wysiłkiem komponowania tej struktury wiersza obliczonego na efekt wrażeniowy. Trudność tę pokonał autor „Czarnej Beatrycy” w sposób jednak naprawdę mistrzowski. I oto im częściej i im bardziej natrafimy twórczości jego na grunt nowych patrzeń i nowych rzutów w zakresie zagadnień socjalnych — tem głębiej i tem szczerzej oddziaływa na nas ta jego ponura, przedziwna, jakże niespożyta i dzwieczna i czysta forma niespokojnej lawiny. Trudno o wyróżnienie w tym tomie rzeczy lepszych od gorszych. Jedno z drugim walczy. Jedno drugie liczy. Do najwspanialszych chyba wzorów tworzącej onomatopeji, zaliczyć trzeba w pierwszym rzędzie „Parade”, dalej „Rewolucjonistkę”, „Opowieść o tańczącym dzwonie” i cały, cały szereg innych równie pięknych i równie przykładowych wzorów mistrzowskiej kompozycji. Ta troska o jednolitość i wygładzenie poziomu utworów przypomina mi Stanisława Dobrowolskiego, poety o odmiennej wprawdzie choć nie krańcowej postawie twórczej wobec sztafendarowej i wspólnej dla obu poetów — idei.

Podejście do wybuchu, który nadejdzie i zawręje i wzburzy — to momenty najbardziej charakterystyczne w sposobie organizowania i rozkładania treści przez Maliszewskiego:

„Wiodłaś mnie drżąca cała
Po bagnietach po wystrzałach
Wlokłaś moje sny dziecięce
Na krwawiące patrzeć ręce
Do otwartych grozą zrenic
Wcisnąć zwarty las szubienic”
lub

„Noc dzisiaj mocno szarpie ciszę
I w pierś ma godzi celnym strzałem
Dzisiaj o tobie wiersz napiszę
Bo wtedy pisać nie umiałam” („Rewolucjonistka”)

Łatwość w ujmowaniu metafory poetyckiej — zdumiewająca.

Posłuchajmy oto inną część utworu:

„Gdy dzień się jak muszla otwierał wesoły
I siał na domy zaczepne i zle —
To z dziećmi pod ręką szedł ranek do szkoły
Z tornistrem na plecach, jak sztab jak hołysz
Stawali przed sklepem, patrzeli na dziwy,
Na pana Franciszka, że bardzo jest siwy,
na bulkę, kukulkę, rogalik prześliczny,
na wyraz nieznan, na wyraz magiczny
szepotali — entree — entree...
(„Opowieść o P. Fr. Mańkowskim”)

I znowa ta prostota i skłonność jak we wszystkich zresztą utworach do warjacji podmiotowych, rzadziej do wyszukanej pointy — stanowią cechy wybitnie indywidualne twórczości Maliszewskiego.

Jednak tłumaczenie artystyczne autora „Czarnej Beatrycy” w granicach wyboru tej a nie innej formy wiersza dla swych zapotrzebowań twórczych — nie wydaje mi się warunkiem sine qua non.

O wiele głębszym i bezwzględnie ciekawszym zjawiskiem jest onomatopeja jego w świetle t. zw. tendencji społecznych, na ekranie sztuki proletariackiej.

Stande, Jasieński, Broniewski — Wygodzki, Rydzewska, Szczawiej.

Patrząc na tę galerię, — prawda, że dziś grubo niewspółmiernych — myślę o drogach formalnych tych twórczych ludzi, o ich szerokim, artystycznym froncie na przestrzeni tysiąca problemów społecznych. Otóż i tu Maliszewski podchodzi do rozmiarów rewelacyjnej zdobyczy. Bezpośredniość wrażeń jego tworzącej onomatopeji pełnej umiaru ale i pełnej goryczy i buntu:

„Można dziś poznać Boga — można pokochać dziś Boga
Niech tylko wczepi się w niebo śmiechu
naszego plakat”
(„Inkantacja naiwna”)

O sile przekonań, która z form celniej i owoceniej zdążyła do pozytywnych zwycięstw ideowych — oczywiście, nie sposób jest ani mówić ani udowodnić. Jedno jest tylko niespodziewane zagadnienie dla poety: czy oto psychika społeczeństwa jest już istotnie znieczulona treścią nużącą i wyjąłową, i czy właśnie już dziś nie odczuwa ona najśliszniej głębokiej potrzeby dźwięków od strony poezji walczącej, dla której nie zawahałaby się przecież poderwać i ruszyć ciężko z miejsca po nowe i z takim trudem wywalczane dla niej przemiany.

W tym wypadku Maliszewski — odsłoniłby swój oportunizm.

J. P.

Aleksander Maliszewski. „CZARNA BEATRYCZE”
Poezje. Nakładem Hoesicka. Warszawa 1929.

W OBRONIE „PLAGJATU”

PP. „lp” i „it”, porywcy recenzenci mojej (właśnie!) powieści „Zawsze ci sami” w szlachetnym zapale demaskowania mej „grafomanji i kleptomanji” posunęli się, mówiąc delikatanie, do mistyfikacji. A to w następujący sposób. Chcąc zaimponować publiczności swą „fachowością” i pragnąc wykazać cały „ogrom” plagiatu, podali w odpowiednim sosie 15 cytatów, znalezionych na przesłaniu 50 stron, tyle bowiem jak twierdzą, z braku czasu czy z przepracowania zdążyli przeczytać. Nie zauważyli jednak, że te wszystkie 15 cytatów stanowią ogółem aż 47 wierszy druku książkowego, t. zn. że na 50 stron czyli na 1650 wierszy znaleźli aż 47 wierszy czyli 1 1/3 str. „plagiatu”. Przypuszczam, że jeżeli nawet według prostego obliczenia arytmetycznego książka, licząca 144 str. druku, zawierałaby nawet owe, powiedzmy, 3 str. „plagiatu”, to i wówczas wysnuły stąd wniosek, że wspomniana książka nie jest moją własnością, jest zbyt pochopny, jeżeli nie arcyzłoty, Ostrońszczy recenzyt, nie goniący za „kurjerkowym” efektem, mógłby tu zarzucić co najwyżej zależność frazeologiczną, zważywszy, że ani jeden z przytoczonych ustępów nie jest dosłownym powtórzeniem, nie mówiąc już, że dotyczy zgoła innych sytuacji i ugrupowań. Ażby jednak uradować pp. „lp” i „it”, podając cały szereg autorów, z których dzieł korzystałem, bo jak mówi Boy: „ostatecznie wszystko z czegoś się rodzi”. Oto oni: prócz: Lidina, Fedina, Seifuliny i Nałkowskiej, o których była mowa, — Brzozowski, Kaden-Bandrowski, Struż, Lenartowicz, Boy, Ant, Miller, Bartkiewicz, Amiel, Barbusse, France, Rolland, Schvob, Maupassant, Papini, Unamuno, Strindberg, Jakobsen,

Hamsun, Czechow, Andrejew, Kuprin, Aldanow, Szklowski, Zamiatin i w. innych, których już nie pamiętam. Jak widać z tego spisu, są to pisarze różni pod względem ideowym i pod względem skali talentu. Jeżeli z nich korzystałem, to tylko ze względów technicznych. Kompozycja treści, fabuła, charakterystyka osób, ujmowanie grup, zmienność tonu nastrojowego i myśl przewodnia powieści „Zawsze ci sami” są produktem mojej i jeszcze raz mojej wyobraźni. Zależności ideowej, tematowej, czy kompozycyjnej nie znajdzie tu nikt ani na lekarstwo. Czy zaś zależność frazeologiczną (w stosunku: 47 wierszy na 1650) jest plagiatem, to postaramy się rozważyć.

Wergilusz wcielił do „Eneidy” kilka wierszy z dzieł swego poprzednika Ennjusza, przez co jednak nie zmniejszył wielkości „Eneidy”. Kochanowski korzystał z rozpowszechnionych w starożytności trenów, tworząc z nich jednak cudowny poemat bólu o swoistej oryginalnej kompozycji. Moljer korzystał z sytuacji i powiedzeń Arystofanesa, Mickiewicza „Oda do młodości” jest „córka” chłesna” Szyllera; dalej, jak sam Mickiewicz mówi: „nie napisałby(m) ballad, gdyby nie było Karpińskiego i Niemcewicza”; Gustaw znowu zapożycza się często w swym monologu u Wertera; fabuła „Konrada Wallenroda” jest oparta na „Szpiegu” Coopera; w „Improwizacji” mamy olbrzymią ilość powieści, zaczerpniętych z „Mojżesza” Vigny’ego; o „walterscotyzmie”, „Pana Tadeusza” napisał prof. Wojciechowski całą rozprawę. Nie będę powtarzał znanych i oklepnych rzeczy o „bluszczoatości” talentu Słowackiego i o zależności jego od Szekspira, Byrona, Dantego. Nie będę się też rozwodził nad wpływami frazeologii

romantycznej na poezję Ujejskiego, Romanowskiego, dalej Konopnickiej, Or-Ota, Tetmajera. Przejdę do dzisiejszych!

Irzykowski wylicza poprostu w „Pałubie”, co komu w pomysłach i technice zawdzięcza. Wierzyński w jednym ze swych wierszy również wymienia swych mistrzów: „Siewierianin, Withman, Staff i Tuwim”. Następnie, Tuwim oświadcza wręcz: „Wpływy? wpływy nie wstydzę się wcale!” nie krępując się zapewne tego, że np. jego „Wiosna” przypomina „Paryż się budzi” Rimbauda jak nie krępował się Słonimski, że jego „Teatr w więzieniu” przypomina „Torpedę czasu” Wells’a. Przytoczę tu fakt podany przez W. Borowego w jego cennej książce „O wpływach i zależnościach w literaturze”: podobno wiersz Baudelaire’a „Le Guignon” jest zlepkiem dwóch przetłumaczonych przez poetę z angielskiego wierszy, a mimo to ani krytyk francuski I. M. Bernard, ani W. Borowy nie nazywają tego plagiatem, owszem zachwycają się jakimś jego swoistym tonem uczuciowym i rytmem.

Na ten temat pisał W. Borowy w wspomnianej wyżej książce, co następuje: „Tego rodzaju prace (mowa o przedstawieniu zależności literackich, jako plagiatów), zawsze wywołujące trochę sensacji, pojawiają się aż do ostatnich czasów. Powodzenie ich sprzyja ta okoliczność, że od czasów romantyzmu ciągle się powtarzają w literaturze hasła oryginalności i indywidualności, które szeroka publiczność pojmuje na sposób „simplistyczny”. Pisał jeszcze o tem w r. 1921 w „Rzeczypospolitej” A. Grzymała-Siedlecki w artykułach: „Manja ścisłości”, „Wpływologia”, „Jeszcze o wpływo-logji”, dając następujące uwagi: „Praktycznym

zadaniem krytyki jest szukać w utworach literackich nie tego, co w nich jest cudzego, co wdrożyło się w nie w postaci wpływów, a co dopiero zapożyczeń! — lecz właśnie tego, co w nich jest najbardziej swoistego, co autor wysnuł z własnego ja”.

Pod tym względem pp. „lp” i „it” zgłoszyli o tyle, że nie raczyli nawet zauważyć (niesety, dopiero na str. 59!) tak kapitalnej rzeczy, jak „Powieść o sobie”, nie mówiąc już o charakterystyce najpopularniejszej obecnie w Polsce postaci, odmalowanej w powieści. Za dyplom „grafomana” serdecznie dziękuję: otrzymało go już tak dużo cenionych obecnie poetów, jak chociażby Zagadłowicz, Stern, Wat, Jasiński. Pozwól sobie tu jednak przytoczyć zdanie z listu K. Irzykowskiego, pisanym do mnie o „podobno” skontfiskowanym tomiku wierszy: „Zbiorek przeczytałem z przyjemnością, ponieważ odznacza się poetyckim wyśłowieniem”, oraz zdanie z innego listu, będącego odpowiedzią na moje zapytanie o wartości moich prac. „Nie spodziewałem się, że by autor „Manifestu twórczego” nie stał jeszcze na własnych nogach”. PP. „lp” i „it” wybaczą, że liczę się ze zdaniem K. Irzykowskiego bardziej, niż ich i im podobnych.

Kończąc ten nieco przydługi list słowami z „Powieści o sobie”: „Choć nie wiem, czy kto odgrzebie mnie po latach, mnie zasypanego bezwładem tłoczącej bezmyślności lub świadomie złej woli gadatliwych drobnoludów, wydających dyplomy na oryginalność, — dziś już nie waham się...”

Z. Posner

(Dla orientacji Szan. Autora podajemy, że „twórcami” paszkwilu tego są: Leon Pomirowski i Irena Tuwim. — Red.)



Okno na Europę

Przeciętny typ umysłowości polskiej — tej niby to „inteligentnej” żywi częstokroć dziwna awersja do prawdziwego zainteresowania się zagadnieniami dorobku kulturalnego zachodu. Wystarczają mu zawyżaj ciasne oploki partykularne w których czuje się lepiej, raźniej, po „domowemu”. Źródła tego zjawiska możemy — między inn. — poszukiwać w niechęci do głębszej, uciążliwej pracy umysłowej, gdy można ją zastąpić namiastką domorosłego sposobu myślenia i ujmowania szeregu zjawisk.

W ostatnich czasach na szczęście, sytuacja powyższa zaczyna powoli ulegać zmianie na lepsze. Ogół społeczeństwa zdaje się zrozumiwać, iż „zachód” jedynie wtedy będzie się nam interesował, gdy stwórzmy i z naszej strony dobrą wolę i chęć przystąpienia do kulturalnej wymiany wartości intelektualnych oraz — czynny udział w życiu umysłowym Europy. Wówczas, możemy sądzić, iż w wielkim *Panteonie Kultury* znajdzie się i dla naszego dorobku odpowiednie miejsce.

Jesteśmy w sytuacji wyjątkowo ciężkiej. To prawda. Ale właśnie tembardziej musimy zmobilizować wszystkie siły do walki z naszą ignorancją w dziedzinie kulturalnych stosunków z zagranicą — *in vice versa*. Czas już, abyśmy wydoskonalili się z „szarego końca”, gdyż, mając mimo wszystko wszelkie warunki po temu, — możemy śmiało kroczyć w pierwszych szeregach. Musimy tylko dążyć do pomnożenia osobistych zdobyczy kulturalnych, przez zlekniecie się z wielkim dorobkiem zachodu, aby móc mu godnie reprezentować i nasze wartości wypracowane wielowiekowym trudem pokoleń.

„Wybijmy okno na Europę!” — oto okrzyk, który musi się odezwać gromkim echem w naszym społeczeństwie.

Mamy wrażenie, iż właśnie świeżo wydana książka prof. Dybowskiego: „O Anglii i Anglikach” jest dokumentem świetnie wykazującym wartość stosunków kulturalnych z zachodem. Odbiegła ona daleko od zwykłego szablonu ujmującego tylko pewien ściśle ograniczony zakres zagadnień, które opracowuje się na podstawie przelotnego pobytu w danym kraju, uzupełniając braki już w „domu”, na podstawie mądrości encyklopedyj i leksykonów. Prof. Dybowski jest świetnym znawcą stosunków Anglii. Już jego poprzednie książki: „Anglia po wojnie” (1924), i „Czego nas uczy Anglia?” (1924) zwróciły na siebie uwagę myślącej części społeczeństwa żądnej „nowinek z zachodu”.

Nie jest on bynajmniej zaslepionym chwalcą Anglii, ale zdając sobie doskonale sprawę z szeregu wadów umysłowości angielskiej, chce je nam przedstawić, jako wzór godny naśladowania, wierząc, iż w ten sposób przyczyni się do pracy twórczej nad coraz dalszą budową naszej własnej cywilizacji narodowej.

Zebrał tu rzeczy — mówi autor w przedmowie — apelują do zainteresowań szerszych niż fachowe, historyczne czy literackie. O ile jednak nawet do zjawisk historycznych zastosowałem tu w pewnym stopniu kryterium dzisiejszej aktualności, o tyle z drugiej strony starałem się w traktowaniu zjawisk współczesnych zawsze szukać ich podstaw historycznych i dbać o perspektywę krytyczno-porównawczą.

Wierzmy, iż ten apel do czytelników nie przebrzmi przy lekturze, dzięki zaletom narracyjnemu i rzeczowemu tej książki — bez żywego echa, w postaci skupionej uwagi i śledzenia myśli i intencji autora.

Daje ona tyle interesującego materiału do przestudiowania i gruntownego przemyślenia, iż nie sposób w ramach skróconej recenzji pokusić się o przedstawienie całości treści tej ze wszech miar zasługującej na poczytność książki.

Zgodnie z cytowanym powyżej wstępem z przedmowy, wykazał autor rzeczywiście ogromną rozpiętość kulturalnych zainteresowań i znawstwa przedmiotu. Liczne przejawy życia umysłowego Anglii na przestrzeni szeregu wieków, znajdując swe żywe odbicie, nie tracąc pierwotnej świeżości, ujmując zawsze wzbudzić w czytelniku głębsze zainteresowania.

Poszczególne rozdziały tej książki — a jest ich aż dwanaście — stanowią właściwie tyleż doskonałych syntetycznych szkiców, operujących dużym materiałem różnorodnych faktów z dziedziny polityki i historii, literatury i t.d. — mogących w równej mierze zaciekawiać specjalistę, jak i laika.

Subtelność spostrzeżeń łączy się tu z ogromem wiedzy prawdziwego naukowca pozwalając na przebywanie bez trudu odległej drogi, dzielącej szekspirowskie postacie (Rozdz. II „Juliusz Cezar” Shakespeare’a a dzień dzisiejszy) od doskonałych wnikliwych sylwetek wybitnych mężów stanu i polityków, jak: lorda Curzona, H. H. Asquitha, popularnego obecnie Mac Donalda i innych.

Swoboda w poruszaniu się po tak rozległych terenach znamionuje dużą kulturę intelektualną i literacką autora, które, w połączeniu z darem narracyjnym, umożliwia mu poczynienia szeregu nowych trafnych spostrzeżeń, co do stosunków i rozlicznych zagadnień życia angielskiego.

Dowiadujemy się wielu interesujących szczegółów z życia i działalności literackiej — oraz na polu zbliżenia z Polską — G. K. Chestertona. (Rozdz. VII „Czym jest Ch.” i Ch. jako przyjaciel Polski).

Z braku miejsca tylko trudno by mi było wyliczyć chociażby tylko same tytuły dwudziestu rozdziałów to też tem goręcej mogę jedynie zachęcać wszystkich, aby jaknajprędzej zechcieli się zapoznać z tem doskonałym dziełem człowieka, usiłującego burzyć mury, oddzielające nas od wielkiej kultury i cywilizacji zachodu, człowieka, który chce ożywić naszą zaśnioną atmosferę, otwierać szeroko „okno na Europę”.

Stanisław Smoleński

JULJUSZ GROT.

Marsz Chiński.

(Wyjętek z poematu p. t. „Płonący Kanton)

Idziemy, idziemy, idziemy.
Ziemia pod stopą się gnie.
Łamiemy, łamiemy, łamiemy.
I ludzi i drzewa i pnie.

Jak bije, jak bije, jak bije
serc naszych wściekły takt
w przyszłość nową i lepszą
wiedzie nas wielki trakt.

Zdeptamy, zdeptamy, zdeptamy
ohydny, krwawy wróg.
Umarł przejasny Budda.
Umarł, nie wstanie bóg.

Nie chcemy, nie chcemy, nie chcemy
W nędzy i brudzie gnić.
Chłirczy też są ludźmi.
Chłirczy też chcą żyć.

Idziemy, idziemy, idziemy
przez walkę i przez krew
jak bombę w świat oniemiały
ciśniemy nasz wielki gniew.

Obraz sceniczny Brucknera narodził w krajach niemieckich wiele hałasu. Jak swego czasu Halbe’go „Jugend” („Młodość”) i Wedenkinda „Frühlingserwachen” („Przebudzenie się wiosny”). Zdaje mi się jednakże, że rostrzygały przy tem nie tyle pobudki o charakterze czysto artystycznym ile raczej żywa aktualność i pikanterja przedmiotu (seksualne dole i niedole współczesnej młodzieży) oraz uporczywe incognito poetę, pono wiedeńskiego lekarza, które goniąca ze sensacją publiczność i prasę szalenie poekscytowała. Fabuła: trzy pary studenckie, trzy pary kochanków. A właściwie nie zupełnie, Freder jest nieokleślanym poligamistą i byłym przyjacielem medycznej Desy. Uwodzi 18-letnią pokojową Lucy i zaleca się do Marji. To mu nie wystarcza. Cynik popycha Lucy do kradzieży, deprawuje ją i wychowuje na ładacznice. Z amatorstwa i bez widocznej potrzeby; z samego zamiłowania do erotycznych ekscesów, do grzechu, zła i brudu, Marja (lekarzka) kocha Petrella a on bez moralnych skrępowań (poeta!) pozwala się przez kochankę wykorzystywać. Irena odbija liryczne Petrella koleżance Marji. Moment psychologiczny dojrzał a Marja wpada w objęcia wyuzdanej Desy, która jej oddawna pożąda. Lecz Marja żyje kategoriami małżeńskimi i przywiązuje się uczuciami do podmiotu swego kochania. Desy ma jej niebawem dosyć; a wogóle wszystkiego dosyć. Szaleje z przesyty; chce z Lucy iść na ulicę. Opór Marji ją wstrzymał. Desy truje się weronałem, kiedy w pokoju obok Freder — wirtuoz cielesnej miłości — przekomarza się z odrażoną przez Desy Marją. Marja gardzi tym bezmyślnym, skorumpowanym samcem, ale kiedy ze zgrozą stwierdza samobójczą

śmierć swej przyjaciółki, załamuje się psychicznie i oddaje się Frederowi. Ta scena ostatnia jest w swoim niepomądanym cynizmie niesamowita.

Sztuka ma duże zalety literackie i teatralne, ale trudno mi się w niej dopatrzeć aż takich wartości, któreby prawdziwie uzasadniały literacki rozgłos utworu. Nie zdaje mi się również, lubo nie mam oczów zamkniętych na rozwój wypadków by ten ponury obraz płciowego anarchizmu wśród młodzieży, był nagminną chorobą epoki. Przesilenie i w tej dziedzinie jest faktem niezaprzeczonym. Dokonuje się niewątpliwie w etyce płciowej przewrót i to mocno w głąb dążący. Ale swoboda obyczajów, wypierająca dawną obudę i zakłamanie w dziedzinie miłości, nie jest jeszcze nihilizmem zastrutym. Dlatego uogólnianie osobistych przeżyć i zboczeń kilku par do znaczenia nagminnej choroby wieku wydaje mi się zasadniczym błędem w postawieniu problemu.

Utwór Brucknera obnaża w sposób zręczny i żywy niewątpliwie dotkliwie rozpięając ranę a zagrany koncertowo, jak to miało miejsce w Berlinie, musiał wstrząsnąć widzom i wywołać burzliwe objawy za i przeciw. Rzecz w czytaniu daje silne wrażenie rzeczywistości i czytać ją stanowczo bardzo warto a nawet należałoby się pokusić o jej wystawienie na dobrej polskiej scenie. Tylko z cenzurą naszą byłoby niezawodnie utarczki.

(Ferdinand Bruckner — „Krankheit der Jugend”. Schauspiel in 3 Akten — S. Fischer Verlag — Berlin. 1929.)

Dr. S. G.

Podróż
bez wstrząsów, dymu,
kurzu, tłoku
zapewnia
samolot.

CZAS
odnowić
PRENUMERATE

PRZYJACIELEM
PISMA
JEST
PRENUMERATOR

Samolotem
podróżujesz
nad chmurami i oparąmi
w słońcu i w czystym
powietrzu

JAN BRZEKOWSKI

SZCZEPIONKI PROF. KROCHMALA

Ulicą „des Bêtes Sauvages” (13 marca godz. 2-a w nocy) pędziła jakaś apokaliptyczna masa. W miotliwych, zawieszonych w powietrzu koszykach mgły i światła, rozpylonego przez latarnie widać było naprzemian to gigantyczna klawiatura dźwięka Apokalipsy, Na tle białych murów, posmarowanych migdałową zawieszoną światła, koń przezebrów, to wewnątrz głowę turkonia, to piętego jeźmieniał się w psa, w fosforyzującego kota lub urastał do rozmiarów byka, wółu czy rzeźniaczej krowy, za każdym susem stawał się innym potworem, z ogrodu udreńców, wreszcie w zawieszinie światła i waty nadsekwanskich bulwarów stał się czemś nierozpoznawalnym kosmiczną emanacją Absolutu, pływająca po zadymionym akwarium świata.

Pastor Pierre de Champêtre wracał do domu z dyskusji teologicznej jaką miał dziś ze swym przziacielem, katolickim księdzem Champenois (Paris XVII, 13 rue Turandot, ulicy nazwanej tak na cześć nieśmiertelnego przedstawiciela trupy Po-nowakowskiej z Krakowa). Było już późno „metro” nie kursowało i trzeba było wziąć tak-sówkę. Ale pastor był człowiekiem oszczędnym i chętnie wytłumaczył sobie, że trzykwateransowy sen nocy letniej (spacer po Paryżu w nocy) dobrze wpłynie na podsekwansowaną dyskusję nerw. Szedł więc szybko (dla zagrania się) i zapomniał przy tej sposobności o podziwianiu Sekwany w nocy, bulwarów w nocy, Paryża w nocy. Przeszedł przez most i znalazł się na Quai des Mignones. Stąd już tylko 5 minut drogi do domu (13 Bd. des Ananas).

Prof. dr. Kazimierz Krochmal (vel Grochmal), dyrektor oddziału szczepień profilaktycznych Instytutu Pasteura w Paryżu wyszedł o godz. 0.15 ze swego laboratorium. Z nudów wstąpił po drodze do „Closerie des negresses”. Widok par uprawiających grę miłosną i całujących się przy dźwiękach muzyki „jazzu” podniecił go nieco. Wypił pół butelki „cinzano” („Goutez Cinzano”) i, ponieważ do domu miał pół godziny jazdy „taxi” — zażądał od „patronki” lokalu pokoju i kobiety. O godz. 1.20 opuścił północną podwoje zostawiając 200 fr. na stoł. Szedł w dół „Av” do Portecacano myślar o wielkości swego wynalazku. O godz. 1.55 znalazł się nad Sekwaną.

Pastor de Champêtre szedł właśnie nadbrzeżnymi „Quais”. Myślał o rzeczach nader istotnych związanych z dzisiejszą dyskusją i właśnie chwycił, że włosy wymykające się ciągle rzecz sama w sobie, gdy przerażenie, jak gorąca szczotka starło skórę z łysiny i usztyniło myśli. Pastor chciał krzyknąć, ale sło mu to wyjątkowo niezgrabnie, jakieś wodniste ciepło rozlało się po uszach... Jak przez warstwę izolacyjną usłyszał jeszcze odgłos strzału, i w tej chwili chwyciło go coś za gardło i rozmachem powaliło na ziemię przywalając jakimś duszącym ciężarem. Pastor Champêtre chciał stracić przytomność ze strachu, ale nie miał już na to czasu. Przytoczyło go, jakieś ohydne, ciepłe cielsko. Gdy go wyciągnęło z pod owłoszonej masy i zapytano czy mu się nie nie stało, pastor potrząsnął tylko głową na znak, że wszystko w porządku i przyglądał się z dziwnym przeżenieniem leżącemu na jędrni szaro-brunatnym potworowi, któremu z otwartej paszczy wlewał się czerwony napuchły biały pianą język.

— Zda się, że strzeliłem w samą porę — odezwał się uprzejmie prof. Krochmal. — Było to wprawdzie ryzykowne ale okazuje się, że służnie ufalem swemu cku. Po zdaniu doktoratu był rok królem kurkowym w Krakowie. Czy pan tylko nie jest ranny? Pies był z pewnością wściekły.

Bagatela! Rozdarł mi tylko rekaw. Chociaż... o tu małe draśnięcie.

— Radziłbym panu jednak natychmiastowe szczepienie. Jeśli pan zechciałby skorzystać z mojej kliniki... jestem do usług.

Tu profesor skłonił ręką na przejeżdżające taxi. — 13 Avenue des Capucins.

II.

— Panie profesorze — mówiła grzechotliwym głosem pastorkowa Champêtre.

— Słucham panią — zachęcał ją dr. Krochmal.

— Chciałem prosić pana profesora o radę. Od czasu tego nieszczonego wypadku, po powrocie z kliniki mój mąż zmienił się do niepoznanienia. Dawniej był łagodny jak baranek, nie powiedział mi nigdy złego słowa, a teraz ciągle się gniewa i irytuje lub wymachuje laską jak przy czermierce. Wytrzymać z nim w domu nie można. Czasem nawet wpada w furję i powtarza jakieś słowa w nieznanym mi języku. Niech mi pan profesor wybaczy, użalam się, jak mieszkanka...

— Niech się kochana pani uspokoi, wszystko będzie dobrze. To tylko chwilowa reakcja wtórna po działaniu szczepionki. Miałem już kilka takich wypadków, że pacjenci po przejściu szczepienia ochronnego zmieniali zupełnie usposobienie. Niech pani przywiezie męża na klinię na kilkudniowy pobyt do mego zakładu, a my z łatwością usuniemy ten defekt.

— Czy tylko z pewnością...?

— Z całą pewnością. Rezę za wynik. Może więc pani jutro przyjedzie z mężem... O ileby mój mąż nie zastała w zakładzie to niech pani się zgłosi do doktora Porzeczek, któremu wydam odpowiednią dyspozycję. Żegnam panią.

Profesor Krochmal nacisnął ręką guzik elektrycznego dzwonka.

— Prosił doktora Porzeczek.

Wszedł (naturalnie po chwili milczenia) dr. Ludomir Porzeczek, wysoki, tęgł blondyn ze śladami pobytu w Paryżu na twarzy.

— Panie kolego! Zgłosi się tu jutro pastor Champêtre, nasz dawny pacjent. Niech go pan umieści na separatce i zawiadomi mnie o tem.

Czy waga torsyjna wróciła już z naprawy?

— Nie jeszcze. Ma być gotowa na pojutrze.

— Czy 67 był już badany metodą Lanego?

— Właśnie dziś otrzymałmy kartę z laboratorium „Lues cerebrospinalis”.

— Niech pan zastępuje nasz „Antilueticon 13113” XX. Trzydzieści tysięcy jednostek. Czy przygotowane już wszystkie do naszych demonstracji dla członków kongresu bakteriologicznego?

— Tak jest, panie profesorze. Wszystkie gotowe.

— Jestem z pana zadowolony, panie kolego.

— Ale niech pan się jeszcze we czwartek upewni czy

szczepionki się nie popsuly. Rozumie pan przy demonstracji tak epokowego wynalazku nie można być nigdy zanadto ostrożnym.

III.

— Szanowni i drodzy koledzy! — mówił prof.

Krochmal. — Sprawa dla której was tu zaprosiłem jest niezmiernie wagi dla mnie, dla kolegów, i sadzę, że nie przesadzę, jeśli powiem: Dla całego świata. Ze względu na to, iż chce na razie wynalazek mój zachować w bezwzględnej tajemnicy, a użytkowanie jego uzależniłem w dużej mierze od zdania szanownych zebranych, dlatego zprosiłem tu tylko kolegów Słowian i najbliższych mych współpracowników z Paryża, spodziewając się znaleźć w was współtowarzyszy, w mem wielkiem przedsięwzięciu. Przedtem jednak domagam się od was słowa lekarskiego, że zachowacie w najgłębszej tajemnicy wszystko to co tu usłyszycie i zobaczycie.

Słowa prof. Krochmala usłyszynione głęboką powagą prelegenta i ciszą sali opadały na zebranych miękko i dusznie, jak chwila strachu przed nieznaną grozą, której nadchodzenie się wyczuwa.

— Prof. Krochmal jest zbyt poważna osobistością, aby bez potrzeby miał wymagać od nas słowa na zachowanie tajemnicy. Sądzę, że mogę mu je dać z pełnem zaufaniem w imieniu swoim i kolegów — przemówił sinobrody profesor Poticka z Pragi.

— A więc zaczynam. Jak wiadomo Szanownym Kolegom ostatnie badania wykazały, że przesadzając deuterotoksyczny rozkładu surowicy w chlorku sodowym z dodatkami procytolinyu platynowy wywołuje trwałe zaburzenia w układzie nerwowym i charakterystyczne objawy zwane od nazwiska wynalazcy chorobą Patatenbaum-Medicisa. Studja nad reakcją organizmu na toksynę Staphylococcus doprowadziły mnie na myśl, że droga odpowiedniego doboru toksyn można wywoływać długotrwałe naczelu i predyspozycje psychiczne. Idealnym tym stało się wywołanie pewnych stałych objawów wkraczających w zakres zmian charakteru. — A teraz zanim przystąpię do meritum sprawy pozwolę sobie na kilka demonstracji. Kolego Porzeczek, niech pan każe wprowadzić pastora Champêtre!

Na sali panowała atmosfera cichej i dyskretności. Słońce lizało szyby okien czerwonymi językami zachodu, krwawiąc białe kaflowe prześcieradła ścian. Prof. Krochmal kazał zamknąć okienne i przekreślić elektryczne kontakty. Pieniąca się śmietana światła wtrysnęła z białych skopców i zastępyła w powietrzu w porowate plastry. To znaczy, było biało i duszno, jak w każdej pracowni bakteriologicznej. Wszyscy byli zajęci oczekiwaniem i witaniem nadzwyczajności.

Otworzyły się drzwi i wszedł pastor Champêtre. Szedł jakoś dziwnie ciężko i uroczyście. Głowe miał ogolony zupełnie, tylko z tyłu sterczał duży czub włosów. Pod nosem szumiły zamasytne blond wasy, a oblicze ożywiała cera mleczno-krwista. Pastor podpierał się jedną ręką pod bok a drugą trzymał blaszaną, dziecianną szabelkę. Nogi topiły się w olbrzymich siedmiomilowych butach z cholewami z palonej skóry.

— Boszu pomiluj! Szło wy? Dywanow i smoty! A dla mych mołojców — dziewczek. Żywo! No, czemuż stoicie? Miodu! Koli, kolii! Dajcie mi Lacha! — wrzeszczał pastor rzucając się na ziemię (i pianę przez usta). Wyciągnięta z pochwy szabla poruszała się w komicznych ciosach i paradach.

Prof. Krochmal wydobyl z autoklawu przykrytą watą flaszeczkę i wypompował jej zawartość do małej strzykawki, poczem łagodnie zbliżając się do chorego dokonał iniekcji w szyję.

POLSKI KLUB ARTYSTYCZNY

Lucyna Krzemieniecka

Juliusz Grot

Wiesław Pajewski

Stanisław Wygodzki

Dnia 6. XI. o godz. 8 wiecz.

Wyprowadzono pastora.

— Zaszczepiłem mu typ Bohuna z „Ogniem i mieczem”. Jestem miłośnikiem ojczystej literatury — wyjaśnił profesor. — A teraz proszę o numer 13.

Wszedł błąd bezmyślnie znużony pacjent. Twarz szara, jakby zrobiona z popiołu. Duże włosy mającego artystyczne upodobania szatyna.

— Gdzie jesteś Horacy — przemówiła trzyastka, okrywając się płaszczem szpitalnym, jak peleryną. — Lecząc gdzie jest Ofelia? Nie widzę jej dotąd. Ach! Ofelio idź do klasztoru! — zawołał numer 13 chwytając za rękę tygo profesora Bolszejedowa z Leningradu.

Złote blonkie Bolszejedowa zaświeciły przerażeniem.

— Ależ tak nie można, Hamlecie Hamletowiczu...

Prof. Krochmal skinął na służbę, aby wyprowadzić pacjenta.

— Być, albo nie być — trąbił za drzwiami król-wicz duński.

Bardzo przepraszam kolegów, ale Hamlet mi się nie udał. To już trzeci Hamlet, którego zrobiłem i żaden mi się nie udał. Przypuszczam, że król-wicz duński stał się kreacją współczesną i zbyt aktorską i dlatego wygląda w laboratorium nieco śmiesznie. Muszę tu zwrócić uwagę Szanownych Kolegów na tę okoliczność, że zarówno Hamlet jak i Bohun nie cierpią wcale na amencję czy „idée fixe”. Są to ludzie zupełnie normalni, którzy pod wpływem szczepionki stali się Hamletami czy Bohunami. Mam jeszcze w laboratorium całą kolekcję Don-Juanów, Tartuffów, Bolesławów Śmiałych, Jeremich Wiśniewskich, Płocowskich i Babekbalów. Ich demonstracjami nie będę nużył Szanownych Kolegów. Zresztą fakt tworzenia bohate-

rów powieściowych „à la manière de...” jest dla mnie mało istotnym. Zasadniczym mym celem było znalezienie sposobu zmiany charakteru i upodobań za pomocą „bakteriolecytn Krochmali”. Tworząc Hamleta z praktycznego kupca chciałem dać dowód swej siły i subtelności mych szczepionek. Jeśli potrafiłem go tak wykończyć i wycieniować na modłę Szekspira, to nierównie łatwiej przyjdzie mi sformować szereg znacznie prostszych typów.

Zanim przejdę do praktycznego zastosowania mego odkrycia, zapytuję Szanownych Kolegów, czy mógłbym tu liczyć na ich cenną współpracę?

Wątpliwości prof. Zatlókala z Brna:

— To, co widzieliśmy przed chwilą przechodzi tak dalece nasze najśmielsze marzenia, że trudno nam się odrazu zdecydować. Musielibyśmy na-przód sami wypróbować...

Zupełnie słusznie, przerwał Krochmal. — To też wyjaśnię najpierw moje plany, a potem tych Kolegów, którzy zdecydują się na współpracę, wprowadzę w tajemnicę mego odkrycia. Przykro mi, że muszę tu zacząć od pewnego osobistego wyznania. Jak Kolegom zapewne wiadomo, pochodzę z rodziny żydowskiej oddawna osiadłej w Polsce. Płynię w nich żyłach także nieco krwi aryjskiej. Głębsze rozważania nad filozofią historii doprowadziły mnie do przekonania, że przyczyną nieszczęść Żydów był zbytliwy sentymentalizm i poczucie piękna. Gdyby nie zmysł dla piękna nie byłoby Żydzi słuchali proroków, gdyby nie sentymentalizm — nie byłoby Mojżesza i Boga, Salomon zamiast być tylko mądrym, chciał być także poetą. Samsona zgubiło piękno, które widział w Dalili i t. p. Podobnie nie byłoby bogów greckich, a państwo rzymskie trwałoby po dziś dzień. Tak samo i Polacy. Zamiast być narodem praktycznym bawia się w sztukę i sentymentalizm. „Ale my Polacy, my lubim ślanki” — powiedział poeta. Mam głębokie przekonanie i wiarę, że zabicie zmysłu dla piękna będzie dobrodziejstwem ludzkości. Umożliwi to maksymalne wyzyskanie czasu. Znajdziemy się w pełnym wieku XX pozbawionym przesadom średniowiecza. Drodzy Koledzy! Zapomocą „bakteriolecytn Krochmali” — zamierzam przebudować świat. Proszę Was o pomoc w tem wielkiem dziele.

Słuchacze bili entuzjastycznie brawo.

IV.

Czy profesor Krochmal był filantropem? Stanowczo nie. Był tylko pragmatystą. Pragnął urządzić świat w myśl zasad praktycznej prawdy i jak doświadczony, pewny siebie strażak, przez przyzwyczajenie zamierzał gasić nawet miłość woda eleuteryków. Miał to w sobie posmak przymusowej filantropii, dawania kartki na obiad żebrakowi pragnącemu się upić. Był on tym dobroczyńcą, który nie rozumiał tego, że dla nałogowego pijaka ważniejszym jest kieliszek wódki, niż kawałek pieczywa.

Prof. Krochmal miał pewne niezakłonne porachunki z metafizyką jeszcze z lat dawnych. Zawsze miał przy sobie awanturę w domu, gdy jako 10 letni chłopiec oddał swą starą czapkę wędrującemu w deszczu włóczędce. (Było w tym czynie dużo litości, a nie tylko chęć pozbycia się starej, nieulubianej czapki, jak to nieraz później zapewniał.) i dwa tygodnie opóźnienia w złożeniu doktoratu, przez miłość do pięknej romanistki. Swoją pociąg do muzyki spodziewał się zwalczyć przez kult „jazzu”. Ponieważ „jazz” nie jest muzyką poważną i wartościową, przele lubie tylko błahostkę, a nie sztukę — wnioskował że merytorycznie i stylistycznie. Szukając za gołem ciałem ranom nałoj krajać skórę paznokciami.

W 28 roku życia przeszedł od pragmatyzmu do

WIECZÓR



POETYCKI

praktycznego poglądu na świat. Urodziny (próg 33 roku życia) przyniosły genialną myśl społecznego użytkowania swego odkrycia. Jedynie interesującym tu faktem jest jak do tego doszło. Zabawa w sędziów śledczych wynalazczości nie jest łatwa i można z dużą dozą słuszności (1 i pół kg.) wogóle negować jej istnienie w odniesieniu do rzeczywistości duszy. Niemniej jednak można i tu dojść do pewnych wymiernych wielkości, które sąsiadują bezpośrednio z tak zwanym stanem faktycznym. Odnosnie do Krochmala należy stwierdzić już na wstępie rzecz dziwna. Pomysł uszczęśliwienia ludzkości przez negację Absolutu nie wypłynął wcale z jego dotychczasowego światopoglądu, mimo iż znużenie kontaktem z wiecznością i z duszą osiągnięte już swoje ciśnienie krytyczne. Analiza psycho-chemiczna dałaby tu mniej więcej takie wyniki:

1) Jolacja z piękną Raymonde Edengaden artystką z „La Furetie”. Moment znużenia i buntownicza myśl: dlaczego na spędzić noc z nią, a nie na czytaniu nowej serii Toma Buchbecwała, króla defektywów Boliwaru.

2) Przysięga swedzenie w palcach lewej nogi, odmrożeńnych jeszcze w czacie podróży do Rosji.

3) Książka „Piec i charakter”, którą czytał przed trzy dni z rzędu do poduszki.

Gdyby chodziło o ilościowe nasilenie, to w procentach:

Dotychczasowy światopogląd	7,5 proc.
Kolacja z Raymondą i niedobre „petit foury”	13,7 proc.
Swedzenie w odmrożonych palcach	56,4 proc.
Książka „Piec i chraker”	17,4 proc.
Podświadomość	5,0 proc.
Razem	100 proc.

V.

Prof. Krochmal wszedł do laboratorium. Z zadowoleniem przyglądał się systematyczności i regularności poruszeń pacujących lekarzy. Po prawej stronie sali s'edział przy stołach tuzin lekarzy. Każdy z nich wyjmował szkiełka z czarek Petriego nakładał precyzyjnie n'ecio buljonu z olbrzymich 10 litrowych słoików, barwił odczynnikami Gram Krochmala i kładł preparat na statyw mikroskopu. Pracowano rytmicznie jakby w takt muzyki. Wszyscy wykonywali równocześnie te same poruszenia: wyciągnięte ręce upodobniały się do balasek w płocie, pochylone nad okularem mikroskopu grzbiety tworzyły biały mur. Regularność ich ruchów przypominała popis gimnastyczny. W innej sali pół kopy pracowników zatapiało ampulki z roztworem bakteriolecytn, które znów odrazu półtora tuzna robotnicznicy znaczyły etykietami i dała i pakowało do pudełek.

Prof. Krochmal rzucił okiem na oddział świ-nek morskich i królików, skrzywił się nieco podrażniony zmysłowym zapachem ekskrementów, i zszedł na parter, gdzie stały kadzice z surowicą, której temperaturę regulował przez pociskanie odpowiednich guziczków siedzący przy biurku medyk.

69 Europejski Zakład Produkcji Bakteriolecytn Krochmali.

— Jestem zadowolony z postępów i organizacji pracy — zwrócił się profesor do doktora Potrochalescu. — W ciągu trzech tygodni zdołał pan uruchomić i doprowadzić do rozkwitu zupełnie nowy zakład. Jest pan świetnym organizatorem, panie kolego.

— 69-ty — wyciągnął dr. Potrochalescu na brzeg drgająca jeszcze na haczyku myślnie profesora, Ale trzeba się spieszyć. Samolot odlataje za pół godziny. A dziś wieczorem w Budapeszcie otwieracie 70-go zakładu, 70 zakładów w samej Europie!

— A zatem jedziemy, panie kolego! Nie wypada być niepunktualnym, chociaż nudzi mnie to wszystko, jak króla noszenie korony. Trzeba ciągle uważać, aby mi z głowy nie spadła.

Jechali samochodem marki Rolle - Royce AW 13131. Na rogu ulicy Montepubuli zapisał ich policjant za zbyt szybką jazdę. Dojechali do lotniska.

Dzień kończył się mętami zmierzchu i osadzał w popielato-mlecznym dym mgły, bez smaku i bez wymiaru.

— Będziemy bić wieczór na śmietanie, taka mgła! — zaśmiał się odziany w skóry, jak Robinzon, pilot. — Jeszcze 5 lat temu lot w tych warunkach byłby niemożliwością — entuzjastycznie mówił dr. Potrochalescu.

— Miał już wiek niemożliwości — entuzjastycznie mówił dr. Potrochalescu.

W kabinie zastali dra Porzeczek. — Przyleciałem kwadrans temu z Konstantynopola. Przywożę dobre nowiny. Afganistan, Persja i Beludżystan potanowiły zaprowadzić przymusowe szczepienie naszą metodą. Ostatnie zapory w Azji pękają. Jeszcze tylko Chiny, Europa i Ameryka zawiądnęły już zupełnie. Spodziewam się, że z postępem cywilizacji wprowadzone zostaną przymusowo nasze szczepionki we wszystkich krajach. Przerwanie istnieć religij i sztuka!

W tej chwili usłyszeli warczenie motoru. Samolot pędził kilka sekund po lotnisku i wbił się prostopadle w górę. Przez szyby widać było czerwone oświetlone litery lotniska, które rozplywało się powo i w mgłę, w różana, jak muszla koralowość.

Rozmawiano już niewiele. Prof. Krochmal nie mógł się bowiem przyzwyczaić do tego powszechnego już środka komunikacji. Trzymał się rękami ściany i porcelanowej, okrągłej muszli umywalni i śledząc przybicie nad nią na ścianie, poczenie - myślał.

— Psiakrew, jak u dentysty.

Dr. Potrochalescu patrzył ze współczuciem na pochyloną postać mistrza. Dr. Porzeczek przy-mknął oczy i doskonale udawał, że drzemie.

— Jestem zmęczony i jadę do hotelu — powiedział Krochmal gdy dolecieli do Budapesztu. — Kolego Porzeczek, niech pan mnie zastąpi i powie jakie mile kłamstwo, aby mnie wytłumaczyć. Przekleśły aeroplan.

— Ależ to m'e wypadła Węgrzy się obraża...

— Gwizdam na węgry, na bakteriolecytny i nawet na samo gwizdanie — przerwał gniewnie i sztywno Krochmal — Kolego Porzeczek, pan nie siada z nami?

— Ja koło szofera. Pęd sprawia mi dużą przy-jemność, a najlepiej się go pije siedząc koło szofera.

Prof. Krochmal poczuł pewien żal do siebie, że się uniósł i chciał w jakikolwiek sposób wynagrodzić doktorowi Potrochalescu swe ostre słowa. Miał ochotę zapytać się go, o jego stosunki rodzinne, o zamiary na przyszłość lub o zdanie o bakteriolecytnach czy metafizyce. Ale nie wiedział jak zacząć i dlatego siedział sztywnie polykając milczenie.

Wysiadamy!

Auto zatrzymało się przed jasno oświetlonym gmachem. Dr Porzeczek otworzył drzwiczki samochodu.

— N'ech żyje Kazimierz Krochmal! — krzy-czał świetlny napis nad bramą.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Krochmal dra Porzeczek.

— Przed naszym nowym zakładem nr. 70.

— Ależ.

— Obowiązek — skłonił się pierwszy asystent

— Dr. Marmossy, dyrektor zakładu.

Prof. Krochmal wszedł do hall'u pod tusz orkiestry.

d. c. n.

NAUKA LITERATURY W SZKOLE ŚREDNIEJ

Marjan Markowski

Pieśń człowieka obłąkanego

Jak dobrze: mur wysoki
i ciężkie kraty w oknach —
za murem świat w obłądzeniu
powoli kona.

Jak dobrze: myślny cali,
zamknięci w państwie małym.
Wczoraj tu znów przywieziono
wyleczonego z szalu.

Nad nami garnek słońca
i wąski skrawek nieba —
kiedy nam skwar dopieka,
chowamy się pod drzewa.

Zyjemy tu jak w niebie:
mógłby człek chodzić goły,
tylko białe fartuchy
pilnują nas — złe anioły.

Ale wieczorem zato,
gdy wszyscy w domu zasną,
patrzę przez rurkę z papieru
jak cicho gwiazdy gasną.

Będę przez długie lata,
a może lat tysiące,
patrzeć przez rurkę z papieru
i nie już nie chcę więcej.

Jan Szczawiej

Krzyż kćło toru

Mkną szyny w dal dwutorem wspomnień.
Tor coraz wyższy, wspomnienia — blade.
Oczy Ireny — dwie nieprzypomnie
Gwiazdy, co w mroku płoną i patrzą.

Tutaj nad torem wojna szalała.
Tutaj nad torem parada krzyży.
Jaki tu znaleźć, czego szukała,
Co tak daleko, w sercu — najbliżiej.

Oczy Ireny — gwiazdy płonące —
W mrokiem szumiącą przestrzeń się wpiły...
Oto z za wzgórza — płomienne słońce
I w blasku słońca krzyż nad mogiłą.
Tutaj! — szumiła przestrzeń jej dzwonne —
Tutaj! — topole szeptały polskie —
Tutaj w ofierze otchłannej wojnie
Polegli porucznik Ludwik Tębski.

W tym krzyku — rozpacz płaczących matek.
W tym krzyku — łkanie bezbronných żon.
Nagle zakwitły w powietrzu bławaty
I płaczem sierot rozkołysał się dzwon.

Ludwik Fryde

Twarz Twoja

Szukałem twoich oczu w milionowym mieście
Przez krzykliwe ulice przebiegając z drżeniem
I po długiej wędrówce zrozumiałem wreszcie
Że niema Ciebie tutaj w metropolitanie.

I że jesteś nieznany przedmiejskim ulicom
I cuchnącym kanałom, wkopanym głęboko
W zgniecione suteryny, ściśnięte piwnice
Nie patrzy Twoje wieczne i nieznane oko.

Spójrz tam, gdzie gniją w brudzie schorzały i biedni
Udział łaski kochania po codziennym znoju
Gdzie głód i chłód i nędza są chlebem powszednim
Tam jedyną nadzieją jest dobra Twarz Twoja.

O chwilo, chwilo czekana — wołamy cię słów
dynamitem
gorącą nocą niespanych, o, niech nadzieje kres
niech przyszłość błyskawicą załśni, jak krwawym
światem
czekamy cię, wołamy — w strasliwym S. O. S.I

czy na rozprawie „O klasyczności i romantyczności” autora „Wiesława”. Program ten pragnie zbyt pochopnie i zbyt często galwanizować złołki bardzo nieraz dostojne, ale w najwęższym tylko stopniu mogące wpłynąć na życie współczesnego człowieka pracy. W psychice młodzieży rekodzielniczej nie powinna istnieć kapłiczka, poświęcona bezinteresownemu zajmowaniu się literaturą nieraz aż nazbyt piękną, kultowi przytłoków na teraz lub na zawsze martwych, gonitwie za wzruszeniami estetycznymi, którym życie dzisiejsze nie dostarcza równoważników. Przyjmuje się czasem wprawdzie, że lektura utworów, wymienionych w programie, jest odprężeniem i odpoczynkiem dla młodzieży, z czym ostatecznie można się zgodzić; ponieważ jednak do tego odpoczynku dochodzi się przez zahamowanie wysiłku fizycznego i zastąpienie go doznaniem psychicznym — niechże te doznania przyniosą nie tylko odpoczynek na teraz ale i pokrzepienie i wywyższenie wartości pracy na potem, na chwile napięcia mięśni ciała. Inaczej pracuje robotnik mający świadomość ważności i rozległości następstw pracy, inaczej tępy, o ścięzionym polu widzenia niewolnik rzemiosła, wyłączony z silnego strumienia energii twórczej, odarniającej całe produktywne społeczeństwo. A nie trzeba dodawać że właśnie nauka literatury dzięki walorom sugestii poetyckiej dźwiga na sobie największą odpowiedzialność za urobienie duchowego stosunku pracownika do pracy.

Realizacja podobnych zamierzeń programowych napotyka dziś jeszcze na trudności, związane głównie z brakiem odpowiedniego podręcznika dla szkoły zawodowej. Trzeba więc iść drogą samodzielnych poszukiwań i zarysowania własnego programu nauki. W rachubę wchodzi wybór, dokonany według pewnych wytycznych na podstawie książki H. Gallego „Przy pracy”, H. Grotowskiej i H. Radlińskiej „Książki o życiu i pracy” (na razie tom pierwszy), L. Grzegorzewskiego „Czytanie polskich dla szkół handlowych i innych szkół zawodowych”.

Specjalną uwagę zwrócić należy na trzy tomy Balickiego i Maykowskiego, bardzo cenne i pożyteczne również w szkole zawodowej. Można z nich wydobyć interesujące młodzież uzupełnienie beletrystyczne, spójne organicznie z artykułami popularno-naukowymi w książce Grzegorzewskiego i Grotowskiej-Radlińskiej. Na uwzględnienie wydane zasługuje też „Serce” Amicisa. Książka o nieprzemijającej wartości, zupełnie współczesna w swym humanitaryzmie i szlachetnym opromienianiu świata pracy blaskami wzniosłości. Na stopniu wyższym, gdy przekroję pewnego stanu kultury staje się dostępnym umysłowości młodzieży — na obszerne potraktowanie zasługuje w całej pełni pozytywizm polski jako kierunek myśli, hasło społeczne, teoria sztuki. Pozytywizm, postępowanym dotąd w szkole i w nauce, mógłby całkowicie zastąpić fałszywy romantyzm, harmonizując znakomicie z duchem szkoły zawodowej.

Dr. Karol Klein

2. Por. okólnik M. W. R. i O. P. w sprawie zmian w materiale w r. szk. 1929 nr. 8. (215). W gimnazjum klasycznym uwzględnić program tylko Kasprowicza.

3. Warto przytoczyć opinie młodzieży w tej sprawie. W odpowiedzi na mój artykuł, zwrócony przeciw planie t. zw. bryków „Jeszcze o podręcznikach szkolnych” Głos Prawdy — tygodnik 25.3.1928, uczeń L. Fr. wyjaśnia, dlaczego istnieją bryki (Głos Prawdy tvg. 8.IV.1928). Oto jego stanowisko: „Chcę zetrzeć bryki, należy usunąć powód, który potrzebę wywołał. Usunąć milimetrowe studowanie Paska, Szymonowicza, Skargi. Młodzież dzisiejsza nie może się zdobyć na tak tytaniczny wysiłek, jak wniknięcie w ich epokę (aluzje Skargi)!!... Dajcie nam współczesność — a nie będziemy was oszukiwali brykami! — oto hasło młodzieży walczącej”.

4. Vorlesungschronik, ogłoszona w czasopiśmie „Die Literatur” z października 1928 i z kwietnia — maja 1929.

5. Por. moje artykuły „Nauka literatury w szkole zawodowej żeńskiej” (Przegląd społeczny maj 1928) i „Kilka uwag o programie nauki w szkole zawodowej żeńskiej” (Głos Prawdy tygodnik 15 lipca 1928).

6. Nagzikowany tu załedwie program nauki wymaga — rzecz oczywista, rozbudowy, dokładniejszego przeglądu zjawisk kulturalnych i autorów, dzieł, mogących służyć za podstawę nauki. W artykule obecnym jednak chodził tymczasowo o krytyczne ustosunkowanie się wobec aktualnego stanu rzeczy; program pozytywny zaś wymaga odrębnego omówienia.

Juljusz Grot.

PŁONĄCY KANTON

(Fragment z poematu)

Wpleceni w sieci anten, jak w koło iksjonowe
w transmisję miast huczących, jak wściekle, głodne psy
w księżycu dysk lodowy tulimy błędne głowy
gardzielą wzdętą krzycząc: to my, to my, to my.

W nocy gdy śmiesznie skrzywieni śpiemy na
twardych łóżkach
w nocy gdy świat nakrywa koldrą kleistą mrok
ręką ciało wesprzemy na brudnych, słomianych
poduszkach
zbudzi nas ze snu twardego ciężki, stłumiony krok.

Z płonących, drżących członków zrzucimy szmaty
pościeli
w ślepe żrenice wpadną błyski zielonych alarmów
świat zakolysze się wirem w szalonej karuzeli
rojne ulice przetrząną trójkątne kliny żandarmów.

Rzewuski. Kitowicz. Ujejski. Edmund Wasilewski — tak, nazwiska czasem wspaniałe, ale gozi program nauki na śmierć zamilać i do żadnych ustępstw nie upoważnia. W klasie szóstej wolno się zapytać jaka z nich korzyść dla ucznia, którego chyba w tych klasach nie chcemy kształcić na historyka literatury, przeżywającego z konieczności fachowej różne treści kulturalne w odmienionych ukształtowaniach artystycznych. Estetycznej wrażliwości młodzieży nie powinniśmy odwracać wstecz i nadużywać przy lekturze utworów, które najwyraźniej zwiędły z biegiem czasu i poza specjalistami nikogo szczerze nie obchodzą, gdy równocześnie współczesnego pisarza polskiego wprawdzie obecnie opuścić twórczość Potockiego, Morsztyna i Woronicza, w klasie siódmej „Księgi narodu” w klasie ósmej „Przedświt” i „Psalm dobrej woli”, ale zato dokonano nieznacznego tylko posunięcia naprzód przez uwzględnienie na liście lektury podstawowej Konopnickiej, Kasprowicza, Tetmajera i Wyspiańskiego. W tym smutnym bilansie jedyna jasna i radosna pozycja są trzy tomy wypisów Balickiego i Maykowskiego „Kraj lat dziecińczych”, „Będziemy Polakami” i „Miej serce”, częściowo załcone już przez władze szkolne do kategorii podręczników dozwolonych w gimnazjum niższym.

Ten konserwatywny program ma pewne może uzasadnienie w braku ufnosci do stopnia wiedzy i przygotowania nauczyciela w zakresie problemów literatury współczesnej. Oficjalnie przecież dla poznania i ujęcia tej literatury na naszych najwyższych uczelniach czyni się bardzo mało albo zgoła nic. Pominawszy inicjatywę i poparcie naliczonych wolnomyślnych — chciałoby się powiedzieć — wykładowców i kierowników seminariów, dla których dopuszczalnym jest temat pracy n. p. o Skamandrytach — na wyższych naszej nauki o literaturze milczy się wstrzymując i wyniosłość, z dobrotliwą wyrozumiałością ludzi starszych dla wybrków młodego pokolenia, o nauczaniu społeczeństwa faktów literacko-kulturalnych, które są — jak się twierdzi — zbyt świeże, zbyt współczesne, by można było zastosować do nich instrumentarium badań ściśle naukowych. A tymczasem argument ten stoi na glinianej nóżce wobec praktyki naukowców, n. n. naszych oświaty, lecz niemieckich, którym chyba nikt nie odmówi przysługiwego ścisłości i filologicznej pedanterji w badaniach. Wystarczy przejrzyć program wykładów na uniwersytecie niemieckim, austriackim i szwajcarskim na rok 1929/1930. Tematem prelekcji jest tam m. i. twórczość Shawa (Bazylea), Galsworthiego (Tubingen) Duhamela (Królewice), Hamsuna (Hamburg), współczesna powieść i poezja niemiecka (Zurych i Monachium); na seminarium literackim w Marburgu przeprowadza się ćwiczenia nad noweliścią Tomasza Manna, a w Hamburgu von Reybekiel ogłasza wykład „Neueste polnische Literatur”!!!

Pomyślniej kształtuje się sytuacja w szkołach zawodowych. Przemiana struktury ekonomicznej społeczeństwa, przejście na trasę rosnącego „wysięgu pracy”, hasło produktywizacji mas najszerzej przyciąga uwagę ogółu do tego działu szkolnictwa, zasługującego na zainteresowanie i poparcie wśród rodziców, wychowawców i władz szkolnych. Szkoła zawodowa nie jest na szczęście obarczona tą tradycją ustrojową i naukową, jaka niewątpliwie przyniata i tłum poczynania reformatorskie w szkole średniej ogólnokształcącej; dzięki temu można spodziewać się po niej większej żywotności, przedsiębiorczości, intensywniejszych prób nowatorskich. W dziedzinie pracy zawodowej domaga się tego zresztą tendencja do rozwiązywania zagadnień pracy w duchu współczesnej naukowej organizacji pracy. W obrębie przedmiotów ogólnokształcących musi się — uznając praktyczny kierunek nauki — iść po linii niezbyt oddalonej od tej, którą zmierza ku swemu celowi nauka rekodzieła. Następuje przełożenie problemu pracy fizycznej i towarzyszących jej zagadnień w sferę duchową, i to jest zasada, jaka powinna obowiązywać w szkole zawodowej przy tworzeniu programu nauki o literaturze. Całokształt zagadnień pracy w bardzo rozległym ujęciu beletrystycznym i popularno-naukowym wysuwa się tutaj na plan pierwszy. po nim zaś następują inne, należące do szerzej uwzględnionego środowiska, w którym człowiek poza pracą przebywa, nie tracąc równocześnie łączności z ośrodkami swego życia. Należy tu kwestie techniki, przemysłu, handlu, wynalazków, spółnoty, zawodu, w świat n. p. asocjalnego (w najlepszym

Istniejący dotychczas program nauki literatury polskiej jest definitywnie przestarzały. Trudno zgodzić się przecież na niepedagogiczne, intelektualnie i uczuciowo niedopuszczalne przesłanki z atmosfery przeżyć, rodzących się przy nauce zawodu, w świat n. p. asocjalnego (w najlepszym wypadku), nieproduktywnego romantyzmu. Niepodobna kształcić młodzieży rekodzielniczej na utworach, polecanych przez program nauki, na kazaniach Skargi, „Powrocie posła” Niemcewicza, na lirykach Karpińskiego, psalmach Krasieńskiego

I dziwisz się: synowi zwykła lampa świeci,
Gazowa lampa — srebrnym sunąca miazem.
Lecz kiedyś. Tak. W Warszawie. Na tej drodze
Twojej
Spotykam Cię. Wszak widzę kolejarzką czapkę...
Podchodzę. Wiem, żeś Ty. Na twarzy stare znoje.
Omyłka! Ścieram chustką łez spojrzenia śmiałe.

I wiele, wiele razy — tysiąc nieskończenie,
Widząc Twarz, Twarz Twoją — spotykam obcą,
obcą,
Naprawdę mówi rytmem serca mego drżenie,
Naprawdę Cię wyczuwam dłońią mą gorącą.

I teraz, jeśli spotkam kogoś, kolejarza,
To cieszę się, że może znał Cię wtedy, wtedy...
Nie na darmo odnaleźć chcę Cię w innych twarzach.
Bo wierzę, że odnajdę. Ale kiedy, kiedy?

Kampanja przeciw przestarzałym środkom i metodom wychowawczym, przeciw programowemu zaciemnianiu umysłów młodych pyłem ulatujących z czciogodnych, przeciw forsownemu zwracaniu spojrzeń świeżych w przeszłość ze szkoda dla orientacji, sprawności życiowej i bogactwa duchowego młodzieży dzisiejszej — niekoniecznie musi wynikać z tendencji faszystowsko-futurystycznych, wyrzekających się archaicznej i muzealnej przeszłości słowami Mussoliniego: „Jesteśmy narodem młodym, który pragnie tworzyć, a nie chce być hotelarzem ani strażnikiem muzealnym. Nasza przeszłość arystyczna jest wspaniała, lecz jeśli o mnie chodzi, to w życiu moim byłem tylko dwa razy w muzeum” (w rozmowie z korespondentami, zagranicznymi). Nie trzeba też powoływać się na radykalne postawienie kwestji przez Marinettiego w liście do polskiej „Zwrotnicy”: „Passé traditions ces deux étouffoirs ou crachoirs!... Vite isolez les ruines plus epidémiques que le cholera... Creusez un grand fossé... contre le Passé et ses rancunes et ses malarias...”. Wystarczy rozejrzeć się po obszarach naszego życia społecznego, by z łatwością podchwycić tempo, jakość, przymus a zarazem urok nieodparty współczesności, jaka ogarnia naszą młodzież coraz wszechwładniej, wręczając ją do wysiłków i rozkoszy, zrodzonych przez dzień dzisiejszy. Możemy sarknąć na przesłanki sympatii dla sportu, na masowe przesiadywanie młodzieży po kinoteatrach, na tłumne walenie się po ulicach najludniejszych miast wielkiego, możemy zastrzec przepisy szkolne o bardzo wpatliwej wartości i skuteczności, występujące przeciw takiemu trybowi życia — choć nie zmieniając faktu podstawowego — gęstej owoj wykończony: potrzeby życia życiem najnowszym o swojej romantyce, życiem sumnych hasel humanitaryzmu i odwiecznych, lecz nowocześnie wyrafinowanych zbrodni, życiem wielkiego zwycięstwa człowieka nad przyrodą i instynktów nad człowiekiem.

Każdy krok na ulicy, każdy rzut oka na szpalty dzienników zbliża nas do panoramy wielkiego dwudziestego, od której nikt i nie już dzisiaj izolować nas bezwzględnie nie może. Gdy więc i młodzież od widowiska tego i porwijającej siły jego wolna nie jest ani też być nie może — do zadań wychowawczych dołącza się to przedewszystkiem, by odpowiednio nastawić duszę dziecka wobec rzeczywistości despotycznej aktualnej by zaznajamiać ją z warunkami życia dzisiejszego i nagiąć do krzytycyzmu, któryby kazał uszanować niewątpliwą wielkość, dobrodziejstwo kultury dzisiejszej, a zarazem neutralizował i usuwał jej niebezpieczeństwa. I tylko wtedy spełni się postulat „szkoły dla życia”, gdy sprawy, dziejące się w budynku szkolnym, przestaną nareszcie tchnąć zaduchem grobów choćby królewskich, zacołaniem i martwością, coraz jaskrawiej odcinająca się od ruchliwych procesów życia, twórczego i stwarzającego nowe światy poza murami szkoły i wbrew programom szkoły.

Nie można zaprzeczyć, że w zakresie metody próbuje pedagog dzisiejszy uzgodnić pracę szkolną z pracą życiową, czekającą ucznia po opuszczeniu szkoły. Stąd np. rozwijanie samodzielności i odpowiedzialności przed sobą samym, uspołecznianie i wielostronne kształcenie młodzieży, osiągnięte w nauce, posługującej się systemem daktoskijn lub różnie modyfikowanymi metodami „szkoły pracy”. Gdy system ten — mimo zastrzeżeń — godny realizacji rozszerza się w Anglii, Ameryce, Rosji, Japonii, Chinach — w Polsce, poza państwem seminarium żeńskim w Chełmie, niema, zdaje się, dotąd szkoły, eksperymentującej w całej rozciągłości nad ulepszeniem metody pracy i twórczym przeciwstawieniem się dotychczasowemu szablonowi.

Jeszcze gorzej rzecz się przedstawia, gdy weźmie się pod uwagę już nie sposób pracy ale przedmiot nad którym uczeń ma spędzać godzinę zajęć. Zdawałoby się, że w przeżywanym obecnie okresie niekryształizowanych dotąd przemian każda sposobność przynieść powinna upragnioną rewizję dotychczasowych programów, uwspółcześnianych pod naciskiem jeśli nie nowej, to w każdym razie innej fazy w naszej kulturze. Sposobność taka nadarza się u wrót nowego roku szkolnego; przekroczyliśmy je niedawno a dzisiaj idziemy dawnym, utartym szlakiem niezmiennych zabiegów nauczycielskich i zawiedzionych nadziei.

Literatura polska, przedmiot o najwyższej doniosłości i najpotężniejszej sile wpływu i formowania duchowego, opiera się w dalszym ciągu na dziełach niepospolitych nieraz, o niespożytych dla narodu wartości; ale i nadal na tych lekcjach dostępu do młodzieży nie ma ten czy ów autor, mówiący o tem właśnie, co uczeń poza szkołą poznaje, co go zajmuje jako element jego pozaszkolnego życia — terenu młodych poszukiwań, testnot, badań.

W wypisach Próchnickiego i Wojciechowskiego dla klasy czwartej i piątej gimnazjalnej Kochanowski, Pol. Lenartowicz, Krasicki, Skarga.

1). Zwrotnica nr. 6 z października 1923.

Wawrzyniec Czeresniński.

Wspomnienie o Ojcu

Wypatruję Ciebie — z pośród znanych twarzy.
Myślę, że kiedyś, kiedyś na ulicy spotkam.
Nie znam, nie znam jeszcze wszystkich kolejarzy:
Ożywia moje serce nie nadziei słodka.

Że kiedyś się spotkamy na codziennym szlaku,
Którędyś chodził, chodził po śmierci i po pracy,
Zgubieni w wielkim świecie niby w korcu maku,
I może niepodobni, lecz zawsze jednacy.

Czasem, kiedy w podróż się wybieram długą
Na dworcach, na stacyjkach Twarz Twoją widzę,
widzę,

Jak mozaika z isker poza dymu smugą —
Czuję Cię tak blisko, że się patrzeć wstydzę.

Śpię znużony w wagonie. Pociąg pędzi, pędzi.
Za szyby patrzysz na mnie mknącym krajo-
brazem.

PRZEGŁĄDY

*
Próbiezłem głupoty — jest recenzja p. Stefana Napierskiego z tomu Marjana Piechala, ogłoszona w numerze 304 Wiadomości t. zw. literackich. Piechal ma zadatki na wielki talent. Dlaczego? Dlatego, że ulega wpływom Tuwima!

Nieprawdaż, jak głęboko madre? Nawet kuracja „niemiecka” — nie pomogła.

*
W tymże „złoty” (t.j. z ulicy Złotej) organie — przegląd prasy. Dowiadujemy się rewelacji: na czterech kolumnach „Głosu literackiego” rozpostarł się wiersz Łazowertówny, z zepsutem zakończeniem. Szukam odnośnego numeru naszego pisma i — nie mogę nań natrafić. „Nekrologi” — zajmują tylko połowę podwójnej szpalty.

Zapytacie: skądże „wyróżnienie” poetki? Ano panom eklektykom „spodobało się” — wydrukować jej wiersz.

Czemuś trzeba podkreślić „popieranie” młodych, a jednocześnie mieć przed sobą wy tłumaczenie z wprowadzenia na łamy.

*
Najciekawsze — „Pologne Littéraire”. „Perła prozy polskiej — Jarosław Iwaszkiewicz”. Wiedocznie autor — bezpośrednio rozczytywał się w Makuszyńskiego „Perłach i wieprzach” — i przez rozróżnienie użył pierwszego wyrazu.

*
W 1 numerze „Głosu Akademika” znajdują się parodie współczesnych pisarzy, pióra Jerzego Osta. Znajdujemy wiersz — naśladownictwo „poezji” p. Jarosława Iwaszkiewicza.

Zwracamy uwagę na znakomicie podkreślony tom p. Iwaszkiewicza: bezsens, kabotyzm. Zabawka w głębość i wieszczność tego „brylantu poezji współczesnej”.

POCIĄG DO UTĘSKNIENIA.

Poganie noszą wodę w cytrynowym dzbanie,
Więc Zosia musi nosić sukienkę po Stasi.
Lewady i posady zabrali Hiszpanie,
Zajęli się poezją Mohikanie nasi.

Aimanzorem nam zorza na ustach zawiśnie,
Zaczai się, przyczai purporowo-ślepą.
Nie wiem ja i Ty nie wiesz, czy ziemia się przysni,
Gdzie Djonizos rozrzucał kamienie po stepach.

W pejzazach utopiono kamienie wiorstowe,
Teraz echem te głązy porosły i grzechem.
Wole, niż igrać z umarłym uśmiechem,
Tę myśl o jutrze i o jutrze nowem.

Tylko czasem wieczorem, przy szampa korku,
Uderza mocnem winem wspomnienie folkloru.
Nasze wnuczka (het z karabinami!-
Powróć kiedys do tamtych futorków.

Chyba czas — kres położyć „zboczonemu djoni-
zjom”!

jotk.

Następny numer „Głosu Literackiego”

Przyniesie m. i.

Odpowiedź COUDENHOVE-KALERGI na list otwarty Dr. KURT HILLERA.

ARTYKUŁ Juljana Grota: „TUWIM” (Rzecz o siwiejącym poecie)



**W
NAJBLIŻSZYM
CZASIE**



odbędzie się

Wieczór autorski

grupy poetów

„K A D R A”

GŁÓWNA KSIĘGARNIA Wojskowa

poleca:

BŁOTNICKI A. Przez rewolucję 1905 do legionów 1914	2. —
BOGUSŁAWSKI. Na biwaku	1.20
Gawędy leguów między sobą	3. —
LIPiŃSKI Bójczyce i armja polska we Francji	2. —
MARYNOWSKI Z. Obrona przeciwgazowa	5.50
OSMÓLSKI Zaniedbane drogi wychowawcze	3. —
PILSUDSKI Zarys historii militarnej powstania Styczniowego	5. —
SKARŻYŃSKI Armja polska we Francji w świetle faktów	5. —
TESLAR Wojna musi wybuchnąć	2. —
Wojsko na powszechnej wystawie krajowej w Poznaniu	2.80

Warszawa — ul. Nowy Świat 69 — Tel. 202-19.

NA MARGINESIE.

Rousseau na wszystkich swych dziełach zarobił około 50.000 fr. Pracowity Diderot około 45.000 Biedak Marivaux za „Lettres Philologiques” nie chciał nawet przyjąć 2,250 zł. Duclos podarował przyjacielowi swemu Rousseau’owi zł. 2500, gdy dowiedział się o jego biedzie. Największy nakład w 18-m wieku osiągnął Voltaire’a „Siècle de Loise XIX” ukazując się w 3.000 egz. Poczynne pismo „Mercure de France” miało nakład 7.000.

*
Obchodzimy obecnie 200-lecie śmierci wielkiego myśliciela Mojżesza Mendelschona. Urodzony w tym samym roku, co jego wielki przyjaciel Lessing, w roku 1729, w Dessau, żyjąc w ngdy kształcił się i dzięki swym genialnym zdolnościom, zajmuje z biegiem czasu przodujące stanowisko wśród myślicieli świata. Jego teorie filozoficzne stały się podwalinami dla następnych pokoleń. Cała twórczość Lessinga jest pod wpływem Mendelschona. Obecnie z okazji 200-lecia śmierci otwarto w Dessau muzeum rodzinnem, ruchome muzeum Mendelschona, objeżdżające większe miasta Niemiec.

*
W Rosji sowieckiej został wykluczony z partii komunistycznej jeden z najświetniejszych pisarzy współczesnej Rosji Borys Pilniak przewodniczący Związku Literatów w Moskwie za następ. „przewinięcie”. Pilniak napisał ostatnio opowieść p. t. „Czerwone Drzewo” i oddał ją do druku do „Krasnaja Now”. Redakcja pisma odmówiła drukowania, — albowiem aluzje polityczne były zbyt jaskrawe (w opowieści Pilniak krytykuje stosunek władzy do wsi). Na to Pilniak, zareagował drukując opowieść w rosyjskim wydawnictwie zagranicznym „Metropolis” — Rozpoczęły się protesty, uchwały, zawieszania — I Maksym Gorkij zabrał głos w tej sprawie, stanowiąc po stronie Pilniaka. Gorkij pisze: Należy pamiętać że Rosja Sow. nie ma zbyt wielu ludzi tego pokroju, co Pilniak, ponadto ustalił się zwyczaj szumnej gloryfikacji pisarzy by rychło potem rzucić ich w przepaść. Gorkij uważa ten stan rzeczy za wysoce szkodliwy dla rozwoju stosunków w Rosji, w szczególności dla klasy pracującej.

W identyczny sposób co Pilniak postąpił również były przewodniczący Związku Literatów w Leningradzie — Zamiatin.

*
W jednym z ostatnich numerów centralnego organu komunistycznego moskiewskiej „Prawdy” Maksym Gorkij wydrukował list otwarty, w którym pisze: że władze sowieckie słabo zwalczają antysemityzm. Tylko co otrzymana — pisze Gorkij w liście — anonimowego „Komitetu Komunistycznego” ulotka nawołuje do wymordowania Żydów. Gorkij pisze, że nie jest to komunizm lecz poprostu chuligaństwo, by po 13 latach rewolucji sowieckiej jeszcze występować z podobnymi hasłami.

*
Po Remarque’u stale się ukazują w Niemczech publikacje o wojnie. W ostatnim tygodniu ukazały się 3 książki:

Ernsta Johannsena: „Wspomnienia konia z frontu”; Henryka Brandta: „W Brzęku ognia” oraz zbiór wyjątków Remarque’a, p. t. „Wojna”; autorów Johana von Vringa, Glaesera, Renna, A. M. Freya i Barbusse’a.

„OLIMPJADA” Warszawa, Warecka 5.



NA NADCHODZĄCY SEZON ZIMOWY POLECAMY:

ŁYŻWY
BUTY DO ŁYŻEW
NARTY,
BUTY DO NART
SANKI
SWETRY
SKARPEŁKI ORAZ
WSZELKIE INNE PRZEBORY SPORTOWE.

NOWE KSIĄŻKI.

— FRANCISZEK LIPiŃSKI. „Elegje”. Nakład Księg. „Stella” Katowice — Kraków 1930.
— FRANCISZEK LIPiŃSKI. „Polonia Restituta”. Fragmenty z poematu. Nakł. Lud. Zw. Artyst. Lit. „Promienistych, Kraków — Warszawa 1929.
Poezje swoistej ideologii na gruncie twórczości współczesnej.

Korespondencja.

— MARJAN DUN. Wojciechów koło Kamionki. — Słabe. Poczaj pisać o rzeczach banalnych i zabierać ludziom czas.

— ST. PIET. Kraków. Jak na pierwszą próbę — mizernie. Temat, technika i forma — rozpadła się i gubi. Radzimy dużo czytać w zakresie nowoczesnej poezji (Dobrowolski, Maliszewski, Piechal, Słobodnik). Po jakimś czasie proszę nam znowu coś nadesłać.

— HER. WEB. Kraków. Recenzję drukowaliśmy. Prosimy o rzeczy nowe.

— PAW. KRZ. Wilno Z artykułu nie skorzystamy.

— DR. W. KŁ. Kraków Tom pana Wojtaszowskiego czytaliśmy. Można go było zmieścić w jednym wierszu — i to w opracowaniu lepszym.

— M. POP. LWÓW. Wiersze przedzaliśmy do druku.

! NA DOGODNYCH WARUNKACH !

najmodniejsza

konfektoria damska

Palta, trykotaże,
suknie, szlafroki
bluzki, bielizna

MICHALINA

Elekforalna Nr. 7

Telefon 189-70.

Firma egzystuje od 1905.

JAN ZEGRZE

szwajcarskie zegarki

BIŻUTERIA

SREBRO I PLATERY

na dogodnych warunkach

WARSZAWA

Nowy Świat № 30.

NA DOGODNYCH WARUNKACH

UBIORY I OBUWIE

męskie, damskie i dziecięce

H. KEJLIN

WARSZAWA

Elektoralna № 7

Telefon 99-94.

Firma egzystuje od 1873.

WARUNKI PRENUMERATY: Z przesyłką — w kraju miesięcznie 1,50 zł., kwartalnie 4,50 zł., zagranicą kwartalnie 1 dolar.
OGŁOSZENIA: 1 mm. szerokości 1 szpalty (tam 4 szpaltowy) 40 gr. za tekstem, w tekście 50 proc. drożej.
REDAKTOR I WYDAWCA — JÓZEF PODHALICZ.

Adres redakcji i administracji:
ul. Młynarska 43, II p.
Konto czek. P. K. O. 16380.